

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 29 CZERWCA 1929 ROKU

NR. 26

TREŚĆ NUMERU: Poglądowa lekcja o Polsce — *Stefanja Podhorska-Okolóm*. Wymowa cyfr — *Herminja Naglerowa*. Wczoraj i jutro — *Hanna Mortkowiczówna*. Cuda nieśnione — *Marja Kuncwiczowa*. Zawalidroga (c. d.) powieść — *Herminja Naglerowa*. Historia młodzieńczej miłości generała Józefa Bema (c. d.) — *Włodzimierz hr. Bem de Cosban*. Trzy pokolenia — *Róża Czekańska-Heymanowa*. W „Wesołym Miasteczku” — *Wanda Melcer-Sztekkerowa*. Światła i cienie na P. W. K. — *Wanda Dobrzańska*. Pawilon pracy kobiet — *N...ski*. W pawilonie prasowym — *S. P. O.* Pawilon Ziemianek i Włościanek na P. W. K. w Poznaniu — *Elżbieta Kiewnarska*. Przemysł spożywczy na P. W. K. — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Szerokość i długość — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

POGLĄDOWA LEKCJA O POLSCE

Człowiek, wstępujący na szczyt górski, musi co pewien czas obejrzeć się za siebie, aby skontrolować rezultat swych wysiłków, zestawić drogę, już przebytą, z odległością, jaka dzieli go od upragnionego celu i z tego zestawienia wyprowadzić szereg norm, regulujących tempo marszu, głębokość oddechu, częstotliwość wycieczek.

Takim spojrzeniem wstecz, już nie jednostki, ale narodu i państwa, jest niewątpliwie Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu.

Wiadomo, że od dziesięciu zgorą lat dźwigamy się z chaosu, ruiny i bezładu — do ładu, rozbudowy i organizacji. Dźwigamy się wzwyż, ale nikt z nas naprawdę nie wie, kosztem jakich wysiłków i jaką drogą się to dzieje.

Rezultaty pracy państwowo-twórczej, gospodarczej, kulturalnej, oświatowej, artystycznej, dają się wyczuć, ale uciekają z pola widzenia we fragmentarycznym rozproszeniu. Nie możemy ich zamknąć w jakiś określony kształt, napróżno staramy się je

sobie uzmysłwić; są to zjawiska płynne, zmienne, ruchliwe, jak woda, jak powietrze. I my, obywatele Rzeczypospolitej, korzystamy z nich, jak z wody i powietrza, i, jeśli zdajemy sobie sprawę z konieczności ich istnienia, to dopiero w poczuciu ich braku, zagrożeni ich utratą, podobnie, jak człowiek, który umiera z pragnienia, albo dusi się bez dostępu powietrza.

Jemy codziennie chleb, ale nie pytamy, w jakim stosunku stoi jego dobroć, obfitość, cena, do warunków produkcji i do kultury ziemi. Posyłamy nasze dzieci do szkoły, ale nie obchodzi nas to, czy i jak sieć tych szkół gęstnieje i jaki zarybek ludzki przepływa przez jej oka. Korzystamy z usług instytucji państwowych, samorządowych, społecznych, wyrzekamy na ich niesprawność, ale sami nie wiemy, na czym ma polegać ich udoskonalenie i reforma.

Brak nam sprawdzianu krytycznego; porównanie z zagranicą jest środkiem najłatwiejszym i najefektowniejszym, ale wyłącznie negatywnym i nie



„Żniwa” — witraż w Pawilonie Spółdzielni Rolniczych na P. W. K., projektowany przez p. Jadwigę Czarnecką-Lewakowską.

prowadzi do niczego. Jesteśmy ciągle wędrownikami, zabłąkanymi w lesie zjawisk, z których każde nas przerasta, a wszystkie w sumie zasłaniają nam horyzont.

Zadaniem Powszechnej Wystawy Krajowej jest właśnie naprowadzenie nas na punkt obserwacyjny, otwarcie przed nami owych zamkniętych dotąd horyzontów naszego rozwoju: pokazanie, ileśmy zrobili od czasu odzyskania niepodległości, ile nam jeszcze do zrobienia zostaje.

Rzecz prosta, że tylko pierwsza część zadania mogła być oparta na danych konkretnych, na realnych zdobyczach, na faktach, niepodlegających dyskusji. Druga, — to, co nam jeszcze do zrobienia zostaje, — jest ustawicznym doganianiem rzeczywistości, wyścigiem pracy z życiem, które wydłuża trasę wyścigu w nieskończoność, rodząc coraz nowe potrzeby, piętrząc niespodziane przeszkody, zmuszając umysł ludzki do uzgodniania rytmu pracy z przemożnym tętnem życia.

Ta druga część nie mogła być na Wystawie w pełni uwydatniona, dla tej prostej przyczyny, że niepodobna jest ująć w ścisłe ramy obliczeń narastającej bez przerwy fali życia, choć właśnie uregulowanie jej, skierowanie we właściwe koryto, wyzyskanie jej ślepych sił, jako motoru twórczego — musi być istotnym celem działania instytucji państwowych, samorządowych, społecznych i prywatnych.

Władzą, regulującą rozpęd i zasięg tej fali, jest organizacja. Ona króluje na Wystawie Poznańskiej, ona jest jej istotnym sensem i koroną, a te nieliczne punkty, gdzie się odczuwa jej brak lub załamanie, uwypuklają jej niezbędność na przykładzie, który, jak wiadomo, silniej działa od wszelkich rozumowych argumentów.

Naiwnym byłby ten, kto by sądził, że wszystko u nas jest naprawdę, jak na Wystawie.

Wystawa — to nie fotografia życia, ale jego parada. Wszystko w niej pała, lśni, barwi się, połyska i podzwania; jest odświeżone, nadzwyczajne, uroczyste, ponętne, zharmonizowane, dociągnięte do tego poziomu odczuwania, gdzie praca przestaje być ciężkim obowiązkiem, a zaczyna być najciekawszą zabawą, igrzyskiem, improwizacją. Kończy się naśladownictwem, kopjowaniem form istniejących, zaczyna się tworzenie życia i towarzysząca zawsze temu tworzeniu radość. „Chorągiew, chorągiew na szczycie niedzieli!”.

Wystawa jest w naszym szarem istnieniu bar-

wną plamą, jest zjawiskiem radosnem i krzepiacem, jest jakby uroczystym popisem szkolnym, na którym po dziesięcioletniej pracy w niepodległym państwie wręcza się świadectwa dojrzałości pierwszym polskim maturzystom.

Młode państwo o wielkich tradycjach wolności obywatelskich wskrzesza w nowych formach dawną kulturę zbiorowych poczynań. Żar młodości, dynamiczny rozpęd długo krępowanych ramion, które dorwały się do „czynu, hamuje pewna hieratyczna powściągliwość, instynktowna rozważa i dostojność, właściwa narodom, wyrosłym w słońcu starej cywilizacji. Stąd wypływa fakt, dość rzadki do zanotowania na wystawach powszechnych, że na naszej obecnej Wystawie w Poznaniu mogą być niedociągnięcia i przeciągnięcia, braki i luki — ale niema skaz i pęknięć, niema zgrzytów i dysonansów, a ze świecą trzeba by szukać kaprysów, wybryków i ekstrawagancji.

Poziom wystawy jest wysoki, bo nagromadzone tu same szczyty, ale ustawiono je na płaszczyźnie, dostępnej nawet dla maluczkich. Każda celowa propaganda musi oddziaływać na masy, równie silnie, a nawet silniej, niż na jednostki; musi trafić do ich przekonania słowem jasnym, zwięzłym, treściwym; musi przede wszystkim uzyskać bezpośredni kontakt z temi masami, aby je sobie zjednać, zdobyć je i uczynić świadomem narzędziem idei.

Ta szeroka demokratyzacja wiedzy o Polsce, to apostołstwo jej zadań i przeznaczeń znalazło wspańnię pole ekspansji na terenie Wystawy. Pomimo całej nieuniknionej pobieżności, przypadkowości, a często i nieudolności, z jaką zarówno wybieżki zbiorowe, jak pojedynczy turyści zwiedzają Wystawę, zapadają w ich dusze trzy zasadnicze i elementarne wrażenia: ogromu, bogactwa i siły — jak trzy ziarenka haszyszu, o wypróbowanem działaniu zarówno na świeżą wyobraźnię prostaka, jak na zblazowane nerwy „kwiatu inteligencji”.

Wielki ogródek freblowski, lekcja pogładowa dla dorosłych dzieci, które ciągle muszą się uczyć na dokształcających kursach życia.

Korzystajmy z tego barwnego konspektu, jaki nam daje Wystawa, pokazując w przekroju moment stawania się, rozrastania i rozkwitu naszej teraźniejszości. Jej owocowanie od nas już tylko zależy, choć nie do nas jedynie należeć będzie. To przyszłość, która nas, rozgorączkowanych, oszołomionych, przytłoczonych nadmiarem wrażeń, wita przy wyjściu z Wystawy.

Stefanja Podhorska-Okolów.



HERMINJA NAGLEROWA

WYMOWA CYFR

Statystyka jest niejako skojarzeniem liczby z życiem. Oderwane pojęcie liczby staje się w niej rachunkiem spraw żywych, życiu przydatnych, życiem i funkcją życia operujących. A mimo to, owe „dane statystyczne“, które, niby kijem, podpira się dziś każdy pielgrzymujący po świecie nauki, owe liczby, sumujące i znamionujące dowcipnym znaczeniem procentu — wydają się nam martwe, niczem tomy-cegiełki w bibliotece Assurbanipala.

W bezliczbie lat starła się bowiem mistyczna polewa — liczby. Zagubiła się Pytagoresowa wiara w początek powstania, w porządkującą chaos siłę jedności, a rozrządzającą światem troistość, spiętą w konstrukcję trójkąta. Taksamo zatraciła się moc chaldejskich zaklęć siedmiorakich. Liczba stała się dziś usługą wszelakim sprawom, stała się powszednim użytkiem, a tajemniczą swą właściwość kosmiczną przeniosła w zagadkę algebraicznych „nieświadomych“, w znak nieskończoności.

Jedną z dzisiejszych służb liczby jest więc i statystyka. Wobec nagromadzenia się pracy ludzkiej i trwania jej w czasie przeszłym, teraźniejszym i przyszłym, wobec tej ciągłości, która przekazuje się z dnia na dzień — obliczenia statystyczne są jakby zapiskami dawnych kronikarzy ku przechowywaniu faktów dla pokoleń potomnych. I w ten sposób treść powszedniego życia wyraża się dziś w liczbie, zastępującej niejako słowo.

„Wymowa“ cyfr nie jest jednak każdemu dostępna. Opiera się jej wyobraźnia, zawsze jeszcze żądająca romantyczności wrażeń i uczuć. Trzeba jej bowiem barwy, kształtu, nastroju, trzeba pojęcia przedmiotu, aby się zbliżyć do niego bezpośrednio rozumem i wycuciem. Dlatego też „tablica statystyczna“ nie osiągnęła jeszcze popularności i nie każdy potrafi ją odczytać, aby dotrzeć do jej treści. Stąd pewna niechęć do „suchej“ liczby, nad którą trzeba się nieco utrudzić myśla.

Żyjemy jednak w czasokresie, który zespala i jednoczy poszczególne przejawy wyrażania się myśli i uczuć, aby tą drogą osiągnąć sumaryczną wielkość i wagę współczesności. Wśród codziennych spraw, iluzorycznie wyodrębniających się z całości kształtu, nie zdajemy sobie sprawy z tego współdziałania wszystkich czynników, ale wystarczy jakiś „pokaz“, jakieś zbiorowe wystąpienie, abyśmy odrazu dostrzegli wspólność wysiłków. Zmieniennym tego przykładem jest właśnie „Pałac Rządowy“ na Wystawie Krajowej w Poznaniu, gdzie „statystyka“ objawia się nam już nietylko, jako liczbowe zestawienie, ale jako — sztuka.

Prawdziwość faktów, które, nieobjęte słowami, wypowiadają się tam w szeregu cyfr, byłaby nużącym niezrozumieniem, gdyby nie pomysłowość artystów. Okazało się tak, że liczba, ten odwieczny, a dziś zapomniany żywioł, kryje w sobie dotąd twórcze możliwości, że staje się natchnieniem, z którego, jak w dniach stworzenia, wydobywa się kształt, barwa i dźwięk. Patrząc na cudowną przemianę liczby w „Pałacu Rządowym“ — wydaje się nam, jakgdyby rzeczywistość odbyła tu mistyczny krąg: poprzez oczyszczającą abstrakcję liczby ku wyobraźniowej twórczości, aby następnie w skrócie stać się znowu odtworzeniem rzeczywistych faktów.

Tak więc, aby ożywić cyfry, aby je z ułudnej martwoty wwieść w zwirowany oddech życia — artysta nie pogardził żadnym materiałem. Rzeźbił w drzewie statystykę rozrostu ludności, symbolizując niejako bieg życia od niemowlęctwa po starość i nieomylny rachunek śmierci. Wszystko, co rozsyłało się na obszarach Rzeczypospolitej, co jest jej bogactwem czy brakiem, jej zagospodarowaniem czy niedostatkiem — więc przemysł, handel, rolnictwo, komunikacja, poczty, urzędy społeczne, szkolnictwo, sztuka — wszystko, obliczone dokładnie, wyobraził artysta lśnieniem metalu, migotem wielobarwnego szkła, witrażową kompozycją, snycerstwem w drzewie, malowidłem na kartonie, proporcją kształtów geometrycznych.

Niby posłuszny kracie i podziałce, ograniczony centymetrem, jako odpowiednikiem liczby w przestrzeni, artysta porządkował ten świat cyfry według twórczych zasad. I tak stało się, że liczba jest znowu źródłem natchnienia, a jednocześnie normą i prawidłem, prawdą, świadectwem i formą rzeczywistości. Kosmiczna właściwość liczby wyzwoliła się jakby nanowo, skoro zdołała określić się w zjawisku przedmiotowym i w wyrazie artystycznego piękna.

Z takiego właśnie zespolenia cyfry i artyzmu spełnić się mógł zamiar pokazania w skrócie dzieiesięcioletniego wysiłku państwa, całej tej planowości, segregującej natłok koniecznych i celowych prac. Pospolity widz, chodząc tu od działu do działu, nasyca się więc nietylko wiadomościami o sprawach, które zaledwie przeczuwał, ale potrafi im nadać wyobraźnią, jak widowisku, jak ożywionej akcji. Wytwarza się w ten sposób bezpośredni kontakt między obywatelem, a oderwanym pojęciem, jakim się wydaje państwo. I to jest zasługa — artysty, owego pośrednika między życiem a abstrakcją, owego czarodzieja, wieczyście już zawieszzonego między ziemią a niebem.

„Wymowa cyfr“ w Pałacu Rządowym jest święta i przekonywująca; rozpala się nią entuzjazm dla wielorakich spraw, dla czynów dokonanych, a jeszcze wytrwale zdążających w przyszłość. Widzimy, jak z szarej, codziennej pracy, z zasiedziałego biuralizmu, któremu się przeciwstawia nasza obywatelska

i cywilna niecierpliwość — urasta machina rządowa i jej imponujący bilans cyfrowy. A widząc to, rozumiemy wartość i ważność państwa, wyczuwamy szczęście, że jesteśmy jego obywatelami. Pojmujemy tak kosmiczną potęgę liczby, jako wykładnika naszej pulsującej rzeczywistości.

HANNA MORTKOWICZÓWNA

WCZORAJ I JUTRO

(Z wędromeł po Wielkopolsce)

Na tyłach gotyckiego kościoła N. M. Panny w Toruniu, przy ulicy Piekary, stoi barokowa kamieniczka, której uroczą, koronkową fasadką tonie w girlandach rzeźbionych kwiatów, gnie się w wytworne kamienne floreesy i załomy.

Przez bramę tego domu, z czerwonego ceglano-go serca starego Torunia wybito w murze przejście ku nowej dzielnicy miasta.

Szerokiemi, jasnymi, prostymi ulicami, wśród białych nowoczesnych domów, mimo skwerów i pachnących ogrodów — idzie się tamtędy naprzód. Idąc, mija się napisy: ul. Słowackiego, Szopena, Sienkiewicza; mija się także rusztowania nowobudujących się gmachów, wysiłek radosnej pracy nowego pokolenia

Od przedwiecznej fasady tumu gnieźnińskiego, od cegieł i tynów polskiego średniowiecza — biały, nanowo i starannie wyźwirowany i ukwiecony taras schodzi rozłożystymi stopniami wdół, ku pomnikowi Chrobrego, ku niebieskiej powierzchni jeziora Jelonek.

I tutaj, na terenie najstarszych zdarzeń, wyzwala się z uśpienia energia nowej pracy.

To właśnie jest cudem, do którego pielgrzymujemy z najdalszych i najbardziej wschodnich okolic naszej ziemi, w ogromnym szumie zielonych, kwitnących zbóż, przez żyzne wielkopolskie płaszczyzny, pełne łąk, pachnących sokiem czerwca, słodkich jezior i małych, czystych miasteczek, chowających w swem wnętrzu perły starożytnych katedr.

Temu dziejowemu zdarzeniu należy się podziwić na starym ratuszowym Rynku w Poznaniu i na Powszechnej Krajowej Wystawie, w niezwykłej chwili konfrontacji zdobyczy dalekiego „wczoraj“ i bliższego „jutra“.

Zdarza się to właśnie w mieście najbardziej nam dotąd obcem, w stolicy dawnych słowiańskich tradycy, skazanej powielokreć surowym wyrokiem politycznej rzeczywistości, a dziś odziedziczonej nagle po niedobrym sąsiedzie, jak bogate, cudne mieszkanie, pełne niegustownych i niezmiernie wygodnych urzą-

dzeń. Tutaj właśnie jest nam dziś dane upić się choćby na chwilę tchnieniem twórczej przyszłości. Nareszcie, raz w życiu nie musimy cofać się wstecz z chorałem ku łzawym ołtarzom zardzewiałych pamiątek i wolno nam nie zrywać z legendą historyczną w drodze naprzód.

W ciągu kilku godzin podróży odbiegliśmy tak daleko od wszystkiego, co wzrusza i boleśnie zachwyca w każdym z pięknych i smutnych miast naszego kraju.

Za nami pozostał swoisty, romantyczny wdzięk opuszczenia i błotniste, wyboiste ulice, zbutwiałe gontowe dachy żydowskich ruder, zapach nędzy i brudu, dzika, krwawiąca poezja zrujnowanych kościołów i półzapadłych chat.

Wilno czy Lwów, Zamość czy Drohobycz, Olkusz czy Lublin — to było przecież zawsze to samo. Drapieżne piękno i niezmierna nędza, lament nad upadkiem piękności przeszłych lat i lęk o to, co może nie spełni się w przyszłości.

Tutaj możemy o tem wszystkim zapomnieć; dać się ogarnąć płomieniowi entuzjazmu, znaleźć odpowiedź na wszystkie niepokoje; od gotyckiego portalu z czerwonej cegły pewnym krokiem iść ku szeroko otwartym drzwiom nowoczesnego gmachu. Strome nawy katedr pachną kadzidłem i dźwięczą echem spiżowych i kamiennych pamiątek. Przestronne, jasne, wysokie sale wystawowych pawilonów pełne są dorobku dzisiejszej pracy i ogromnej, pracowitej nadziei.

Wszystko, istniejące przed wiekami, zapoczątkowane dawno — nie zgubiło się w nicości, ale istnieje i rozwija się na nowej płaszczyźnie życia.

Każde od wieków trwające piękno i każdy pożytek przyrody — ujęto w zapobiegliwy i staranny aparat opieki.

Można nareszcie ufać i szukać odpowiedzi na trudne pytania.

Można uwierzyć, że ziemia, którą depczemy, płodna gleba pól, piachy, łąki, glinki i czarnoziemy,

ugory i nieużytki, łąki i pastwiska — to ogromny warsztat pracy nowoczesnej, teren tysiącznych doświadczeń, produkcja sztucznych nawozów, precyzyjne maszyny rolnicze, niezliczone gatunki ziarn i ich uprawy; to zagadnienia komasacji i parcelacji, racjonalnej uprawy i meljoracji rolnych. Że nad płowiącym łanem pszenicy i zryta i krwawym potem schylającego się nad ziemią człowieka — wieje nietylko wiatr i nietylko pali słońce, ale czuwa opieka Państwa, w postaci Ministerstwa Rolnictwa i Ministerstwa Reform Rolnych, działalność stacyj doświadczalnych rolniczych, oświata rolnicza, związki ziemiańskie, przemysł rolniczy — dziesiątki rolniczych organizacyj.

Że oprócz piękna nieprzebytych lasów, obrośniętych szuwarem jezior, ryku bydła na pastwisku i tego wszystkiego, co istniało od wieków, jako podstawa bytu rolniczego Polski — poważne zagadnienia teraźniejszości i przeszłości — występują na P. W. K. w pięknych pawilonach z rezultatami swej pracy w ziemi: ogrodnictwo i przemysł ziemniaczany, leśnictwo, nasiennictwo i przemysł drzewny, jajczarstwo i mleczarstwo, rybactwo i łowiectwo, obora, kurnik, stajnia i chlew.

Drogi, któremi przemierzamy obszary tej ziemi,



Ratusz w Poznaniu — wspaniałe włoskie dzieło renesansowe — 1550 r.]

(Fot. R. S. Ulatowski — Poznań)



Poznań — Działek dawnego majątku od strony kościoła Farnego (Fot. R. S. Ulatowski — Poznań)

to już nietylko zarośnięte miedze, wyboiste lub piaszczyste trakty, rozlane brody i zerwane mosty — to nareszcie opieka Ministerstwa Robót Publicznych, plan przebudowy i regulacji, model reformy — wizja śmiałego łuku mostowej konstrukcji i asfaltowa wstążka szosy, pokazana nam tak umiejętnie w salach parterowych Rządowego Pałacu.

A dalej — co ci mówi Wystawa Krajowa o miastach, mieszkańce tych miast, przybyły z dalekiej prowincji: Siedlec lub Częstochowy, Łowicza lub Będzina, Słonimia lub Grudziądz? Wejdz, proszę, do pawilonu Samorządów, uciesz się nareszcie: jaki gdzie buduje się szpital, jaka gdzie powstaje szkoła, jaki owdzie wznosi się gmach — wodociągu, hotelu, banku, fabryki.

Od wspomnienia bryki bez resorów, albo zgoła drabiniastego wozu, którym trząsłeś się po kamieniach w drodze do dalekiej stacji kolejowej, od myśli o listach, otrzymanych w tydzień po nadaniu — jakże ufnie biegnie się wzrokiem ku sieci kolejowej Ministerstwa Komunikacji, ku modelom wagonów, cylindrom aut, tłokom lokomotyw, skrzydłom samolotów, ku iskrom radja i telegrafu!

Od świadectwa historycznych pamiątek, spotykanych co krok, na każdej piędzi naszej ziemi, jakże łatwo trafić na terenie Wystawy do nowych drgań, nowych teorii, nowych praw — tworzącej się historii.

Stare dokumenty paktów Rzeczypospolitej z ościennym władcą — w tej samej sali, co statystyka placówek zagranicznych M. S. Z. Od kamiennego pręgierza przed Ratuszem krok jeden do sal Ministerstwa Sprawiedliwości. Poszczerbiony miecz i rycerz w zbroi w dziejowym szeregu staje na przeciwnym skrzydle — nawprost karabinu maszynowego, łodzi podwodnej i tanku. Zaśniedziały szeląg ma dziś odpowiednik w pawilonach Banków, safesach P. K. O., tablicach statystycznych Ministerstwa Skarbu.

Tak to obróciło się w tem niezwykłym mieście koło czasu, by w święto odrodzenia dawną polską świetność i nową polską pracę postawić koło siebie na podziałce dziejów.

Nie potrzeba chyba dalszych dowodów tej historycznej równowagi? Czy może właśnie należy je piętrzyć w nieskończoność, cieszyć się ich symetrią, wędrować uparcie przez stulecia rozwoju; od średniowiecznego gobelinu — do juty i bawełny fabryk Pabjanic, Bielska i Łodzi; od piernika toruńskiego, wypieczonego w kształt samego Króla Jegomości — do czekolady Wedla i Fuchsa.

Jakimże głosem starożytny gdański dzwon Wojciech z gnieźnieńskiej katedry odpowie na sygnał i dźwięk nowego polskiego dzwonu z Przemyśla, Poznania i Bielska — kołyszącego się pod ścianą metalowego pawilonu wystawy?

Jaką drogą biegnie promień słoneczny od witraży katedry w Chełmnie do szyb i lusterek przezroczonego pawilonu — szklanych Hut?

Od iluminacji przedwiecznego Mszału z Kruszwicy, od temperowej predelli ołtarza w Truniu — jak bezpośrednio i łatwo zwraca się wzrok do pięknej książki i pięknego obrazu współczesności — w Pałacu Sztuki!

Rzeźbione drzwi gnieźnieńskiej katedry, Oleśnicki Wita Stwosza, marmur Jana Michałowicza z Urzędowa — i głowy wawelskie Dunikowskiego — czyż to nie jeden nieprzerwany szereg?

Niezwykłe różne ujścia mamy dla nadmiaru naszego entuzjazmu. Łuki przyporne, lizeny i empo-

ry gotyckich stromych naw, koronkę renesansowych portali, zaśnieżone barokowe hełmy wież, czerwona cegła i stiuk — obok żelbetonowych konstrukcyj białych pawilonów z cementu i szkła. Kunsztowna rzeźbę gdańskiej szafy — obok lśniącego mazeru nowoczesnych wnętrz meblowych „Ładu“. Muzealny kaganek — obok nowoczesnej lampy, płonącej żarem elektrycznej energii. Fiolę alchemika — obok bogactwa chemicznej produkcji.

I dalej — obok skomplikowanego zamku gotyckich drzwi — kotły i tłoki maszyn w Hali Ciężkiego Przemysłu.

Zachwyt nasz i entuzjazm obejmie swem ciepłem oba krańce.

Bo nie chcemy dziś szukać wad i usterek, nie chcemy niedowierzać i marszczyć krytycznie brwi, nie dopuścimy do serca głosu wątpliwości.

Raz jeden, na całym wielkim obszarze dziejów i ziemi, przestaniemy opływać krwią i żółcią — „rozdziierać polskie rany“.

Nie będziemy uciekać od wspomnień i bać się przeczuć — nareszcie!

W tej ogromnej tęczy uniesienia, która, jak ceglany łuk toruńskiego Danskera, łączy Psałterję Lubrańskiego ze szklanym pawilonem sztucznych nawozów — westchniemy najradośniej słowami Mickiewicza:

„Ach, mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje!
Wystarczą. Z zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę!“

MARJA KUNCEWICZOWA

CUDA NIEŚNIONE

Tyle rzeczy potrzebnych, tyle pożytecznych!
I wszystko polskie, polskie!! Przestajemy to wiedzieć
mózgiem; widzimy oczami, łapiemy słuchem, noz-
drza — falując — chwytają tę prawdę, serce o nią
uderza: mamy skarby, jesteśmy bogacze. My w Pol-
sce, Polacy.

Suwają się walce w naszych płomiennych hu-
tach; szyby naftowe chlują ropą, jak mokrym, ru-
dym włosom; piękne bydło ryczy po oborach; poprzez
czarne i brunatne złoża zwyciężają górnicy.

Malarz to dla nas swoim wtajemniczonym wzro-
kiem ogląda i w wieczną pogodę zamyka; pisarz szu-
ka za nas słów, żeby to na zawsze uwielbione zosta-
ło. Muzyk słucha rozgwarów wielkiego kraju, żeby
dzieci mogły kiedyś tak śpiewać, jak się dzisiaj pra-
cuje.

Tyle rzeczy potrzebnych, tyle pięknych rzeczy
polskich po dziesięciu latach wolności!

I jednak nie zapomniano o rybkach. O cudzych,
japońskich malusieńkich rybach...

Pływają w szklanych pudłach wśród palm i alo-
sów. Drobne tęczowe torebki, wypełnione wnętrzo-
ściami, które nie wiadomo co trawia, jakim rytmem
pulsują, jakie wyrzucają westchnienia.

Pływają szybko, jak gdyby solennie ku temu
uproszone.

Pływają, roztrzepując złote falbany, zprzodu
krótkie, wtyle coraz dłuższe, paquin'owskie, jed-
wabne...

Potem stają — zagubione w obcych wodach.
Prawnuczęta Nipońskiego smoka stają parami prze-
ciw sobie, i trwają. Trwają w gniewie, żarłoczne gar-

dzioleczka otwiera jakiś spazm, z zamierzchłego czasu zjawiony, oczy zioną szałem.

Ryby urągają ładowi, ryby gardzą człowiekiem.

Zasłuchane w loskot serc, których nie umiemy zobaczyć, nalane wiedzą o sprawach, których nigdy nie było — złorzeczą.

Wtedy niecierpliwy przechodzień stuka palcem w szybę — chce patrzeć, jak zamorskie strojnisię trze-

potać będą skrzelami. Rybki skręcają ciała; ruch odpędza grozę od ich pyszczków, zachłyśniętych sobą — pływają.

Niejadalne cuda japońskie wśród pięknych polskich dorobków.

Cuda, cuda nieśnione... Posły od spraw śródwodnych, śródgwiazdnych i nieludzkich do strudzonego człowieka.



HERMINJA NAGLEROWA

9)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Franek nie mógł odrazu poznać Jadzi. W żółtej, satynowej pyjamaie wyglądała, jak chłopiec. Śmiała się długimi zębami trochę smutno, a trochę jakby niegrzecznie. Huśtała się na sprężynach sofy, klęcząc na wielkich liljowych i zielonych poduszkach, a w ruchu trzęsły się jej małe piersi, dokładnie odznaczone lśnieniem satyny.

Na niskim stoliku świeciły się lusterka herbaty w cienkich filiżankach. Bezustanku palili papierosy, dmuchając dymem, który urastał w wielkie kwiaty na długich, giętkich prętach. Jadzia śpiewała potem rosyjskie romanse i psi żal wyl w splakanej melodji. Gdy skończyła, opowiadała o tem, jak to było w Baku, w domu rodziców, jak bogato, jak świetnie się tam żyło. Trzepotała się przytem, jak ptaszek, ramiona pluskały, niby skrzydełka. Trudno było tym ruchom nadażyć wzrokiem, a właśnie musiało się patrzeć na nią, gdy tak pociesznie, z rusińska akcentowała. Opowiadała, jak się jej rodzice kochali, a gdy się całowali, było jej zawsze czegoś przykro, jakby ją krzywdzili, jakby łaskotali pod szyjkę.

— Dobry z ciebie numerek! — powiedział Adonis i pocałował ją w same usta. Franek wołał nie patrzeć na te karesy, bo i tak miał ochotę rozbić Janekowi wstrętny łeb.

Tymczasem Jadzia zaśpiewała zdyszonym głosem: „Czy pani mieszka sama?“, a potem podreptała po dywanie kilka taktów charlestona, zjadła parę herbatników, oblizła palce i znowu zagnieździła się na sofie wśród poduszek. Była, niby żółty, głupi kanarek.

Wreszcie wszyscy troje wtoczyli się na sofę, a Jadzia wtuliła się ciasno między chłopców. Franek niewiedomo dlaczego pocałował ją w szyję, więc

uderzyła go po rękach, niby zagniewana. Adonis pozwał się pieścić i przymykał oczy, jak kot. Rozmawiał przytem z Frankiem o swoich sprawach. Właśnie tak się składa, że na wakacje pojedzie do swoich kuzynów na wieś, do wschodniej „Galilei“.

— Wiesz, do Mianówki, w sąsiedztwie Kaliniec. Jedźmy razem! Zatrzymamy się dzień we Lwowie. Franek zgodził się, trzeba będzie przecież i tak pojechać. Dobrze, za tydzień! Pomówi z matką i jutro napisze do ojca.

Gdy odchodził, Janek rozłożył się na sofie i krzyczał, że zanie nie wstanie, bo mu tu dobrze. Niech Jadzia wyprowadzi gościa, niech sama robi honory domu!

— Wistocie, zadobrze jest Adonisowi — pomyślał Franek.

W przedpokoju objął Jadzke i tak ją silnie ścisnął, że jęknęła. Byłby ją nawet pocałował, ale brzydził się, bo przed chwilą śliniła się z Adonidem.

Szedł ulicą, jak pijany na dygocących nogach. Było jeszcze jasnowo i powietrze liljowiło się od zachodniego nieba. Na Placu Unji kręciły się wkółko tramwaje, a wiatr powiał zapachem świeżo podlanego skweru. Oszołomienie minęło i nogi szły już ostro. Franek gwizdnał i zamachnął wkrąg laską. Fiu... wszystkie kobiety można mieć! I tamtą w czarnej sukni, tak mocno na biodrach opiętej, że wygląda, jak spasty kary koń. I tę, furkocącą falbanami nad słupkami wysokich nóg. Albo i tę w białym kapeluszu. Chodzi przecież tam i sam, jakgdyby czekała na czyjeś wezwanie. Franek patrzył w oczy każdej przechodzącej kobiecie i prawie każda odpowiadała mu spojrzeniem. Te łatwe triumfy rozochociły go i zuchwale stwierdzał, że naprawdę

wszystkie można mieć i wcale na to nie trzeba być Adonisem.

W domu podczas kolacji, chrupiąc ze smakiem rzodkiewkę, zapowiedział swój wyjazd za tydzień. Ręce matki różowiły się dwiema plamami na białym obrusie, a Franek pomyślał, że lepiej teraz nie patrzeć na matkę, lepiej nic więcej nie mówić o wyjeździe. Widział tylko, że ręce splotły się niewinnie, ale palce drgały, jak nóżki zabijanego żyjątka.

— Czy już zrobiłaś ten śliczny abażur do sypialni?

Tak, właśnie dziś wymalowała ostatni medaljon.

— Pokaż! — Chciał, by wiedziała, że go obchodzi jej sprawa.

Przyniosła żółtą, cudacznie sklepioną ampulkę.

— Nie dotykaj, bo jeszcze mokre! Widzisz, to ostatnia scena — odchodzą od siebie.

Uśmiechała się drwiąco.

— W tym owalu poznali się, potem kochają się aż w trzech medaljonach, a dziś kazałam im się rozjeść.

Były to czarne figurki w stylowych strojach na tle fragmentu drzew, których liście strzępiły się, jak kiście czarnej mimozy.

— Bardzo ładnie to wymyśliłaś, ale trochę smutno, że się rozchodzą.

Czarne postacie wyginały się ku sobie wdzięcznie, jak w menuecie, splatały czarnymi łapkami, a dzióbki ust spinały się, jak u gołąbków. Odchodząc, darli medaljon płamą pustki. Tędy przesieje się najwięcej światła w mrok sypialni, aby młode małżeństwo mogło sobie spojrzeć w rozkochane oczy.

Zofja ścinała nożyczkami niteczki, wysmykając się ze szwów abażuru, a jej długie, złote rzęsy mżyły iskierkami. Frankowi nie podobał się wcale ten abażur i to nieudolne malowidło, ale chciał matce zrobić przyjemność.

— Jak się ożenie, zrobisz mi taki abażur!

Parsknęła śmiechem, takim właśnie „niematemnym“ śmiechem.

— No, mamuś, zrobisz? Dobrze ci zapłacę, bo ożenie się bogato!

Chwycił ją wpół, okręcił i pocałował w policzek.

— Co cię tak dobrego spotkało?

— Narazie nic, ale chciałbym być szczęśliwy!

Trzymał ją w ramionach. Była przecież mała i drobna, można było policzyć kręgi żeber.

— Chcę być szczęśliwy! — krzyczał tak głośno, że w suficie odbiły się echo.

— Och, każdy chce! — raził ją ten wybuch Franka.

— Cóż, że każdy. Inni mnie nie obchodzą!

— To egoizm, obrzydliwy egoizm, Franku!

Sprężyła się:

— No, puść już, już dość!

W odepchniętym najeżył się nagły gniew. Za wszystko — za niezyczliwe słowa, za odepchniętą czułość.

— Niby dlaczego obrzydliwy egoizm? Każdy myśli trochę o sobie.

Zmierzyły się oczy — jego czerwone i żagwiące, jej — nieco przelękłe. Drganie ust formowało jakieś inne, dotkliwe słowo, ale matki już nie było w pokoju. Pobiegł za nią, waląc ciężko nogami.

— Mamo, mamo! — łomotał kulakami w drzwi — to nieprawda, wcale mnie nie znasz, nie zadajesz sobie trudu, aby mnie zrozumieć!

Wśród wrzawy własnego wzburzenia usłyszał, jak przekreśliła klucz. Zamyka się! Wyrzuca go za drzwi!

— Otwórz, musisz otworzyć!

— Nie lubię dzikusów! — odkrzyczała — trudno już z tobą wytrzymać!

— Właśnie dlatego dobrze, że odjadę!

— Ależ tak, tak. Cieszę się, że odjeżdżasz, będę miała spokój w domu.

Serce podeszło do samego gardła.

— Kłamiesz. Wszystko, co mówisz, jest nieprawdą.

Dławił się słowami, wydierał je z krtani, jak krwawy skrzep. Cokolwiek strząsała rozwścieczona myśl, podejmował natychmiast głos dziki i ostry, jak krzyk ptaka. Aż wrzasnął nazwisko pułkownika i wtedy prędko, jakby go ktoś gonił, uciekł do swojego pokoju.

Przez otwarte okno szła z podwórza płakawie rozciągana piosenka jakiejś służącej. Ktoś z osobna grał na organkach smarkliwą melodję. Franek powlókł się do okna i stał, rozgrzany gniewem i rozpaczą. Wszystkie mieszkania otworzyły się oknami ku parnej nocy podwórza. Gdzieś darł się płacz niemowlęcia, a w jakimś wysokim oknie zabłysło światło i za firanką przebiegł ktoś szybko, jak wielki nietoperz. W parterze za brudną szybą kulił się szewc, niby bury pies. Od czasu do czasu unosił się wgórę wyolbrzymiony cień młotka, jak ogromny, groźny kulak.

— W moją głowę, w moją!

Serce wyszłochoło jeszcze resztkę wzburzenia, ale już wstyd obrzydzał sobie niepoczytalność wybuchu.

Jak śmiało to wszystko powiedzieć matce? Za co? Za jej niedospane noce, za jej dzień spracowany nad roboczym stołem?

Patos samooskarżeń piętrzył się coraz wyżej.



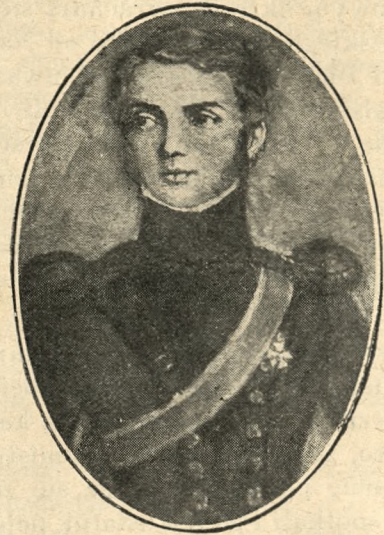
HISTORJA MŁODZIENCZEJ MIŁOŚCI GENERAŁA JÓZEFA BEMA

Wojna, wielka wojna wybuchła! Musiało nastąpić rozstanie na czas niewiadomy. Porucznik przebył całą kampanję szczęśliwie i chlubnie, ale po kapitulacji Gdańska, której to twierdzy bronił wraz ze swoją baterją, podkusiła go żylka wojskowa, podniecona jeszcze otrzymaną za Gdańsk legją honorową, podkusiła go zawadjacka fantazja, przedrzeć się do Francji za cesarzem, za wojskami księcia Józefa, by okryć się nową chwałą i wtedy dopiero stanąć przed narzeczoną w pełni rycerskiego blasku. Wrócił aż na początku 1814 roku i, dostawszy się do Warszawy, podążył przedewszystkiem tam, gdzie go ciągnęło serce, a gdzie go zawsze witano tak mile.

Spotkały go na wstępie wieści hiobowe. Franciszek Bem de Cosban już nie żył. Poległ w ostatnich tygodniach kampanji. Poległ niespodzianie, wpłatawszy się wypadkowo u siebie na wsi, dokąd sam bez rodziny się wybrał, w utarczkę jakiegoś uchodzącego oddziału polskiego, ściganego przez secinę kozaków. Poległ ze szpadą w ręku na progu dworu, dumnie odrzuciwszy wezwanie do poddania się, skłuty kozackimi pikami. Zginął tak, jak nakazywał honor zginąć dawnemu oficerowi gwardji, oficerowi legjonów polskich i jednemu z ostatnich rycerskich paziów ostatniego polskiego króla...

Dowiedział się natomiast porucznik Józef Bem o innym rycerzu, rezydującym teraz w pałacyku na Lesznie, o sztabs-rotmistrzu wojsk cesarsko-rosyjskich Ostoja-Balickim, polaku z Wołynia i dalekim kuzynie Bemów de Cosban. Nietylko jednak jako kuzyn rezydował tam sztabs-rotmistrz — był on już prawowitym mężem... Róży.

Nie dotrzymała więc danego porucznikowi słowa jego wybranka, podobno jednak padła ofiarą intrygi. W czasie kampanji 1812 roku i do końca oblężenia Gdańska korespondencja pomiędzy narzeczonymi siłą okoliczności została przerwana. Kiedy zaś wojska rosyjskie zajęły cały kraj w 1813 roku i kiedy zjawił się wraz z niemi w Warszawie ów daleki kuzyn z Wołynia, Balicki, i po śmierci Franciszka Bema de Cosban otoczył w tych niepewnych czasach pozostałą jego rodzinę męską opieką — stał się on niebawem jakby najlepszym przyjacielem i zaufanym tej rodziny. Oczywiście, piękna Róża była magnesem, który ciągnął rosyjskiego sztabs-rotmistrza ku pałacykowi na Lesznie. Magnesem zresztą bezwiednym, gdyż wiernie czekała ona na swego tajemnego narzeczonego, na swego poruczni-



*Józef Bem, jako porucznik artylerji wojsk polskich
(minjatura z 1817 r.)*

ka konnej artylerji. Tymczasem on, ów oczekiwany — nie wracał! Dowiadywała się o niego. Zdołała dowiedzieć się, że był ze swym oddziałem w Gdańsku, ale Gdańsk już dawno kapitulował i przybyli już do Warszawy ci, którzy stamtąd powracali, a o których uszy obilo się chlubne odznaczenie porucznika artylerji, Bema, Legją honorową. A więc nie zginął, lecz okrył się chwałą! Dlaczegoż więc nie wraca do niej teraz, kiedy mógłby tu już stanąć?

Rotmistrz Balicki oświadcza się tymczasem o rękę Róży. Panienska wyśmiewa „kuzyna“, radzi mu szukać szczęścia gdzieindziej. Balicki oznajmia, że będzie czekać cierpliwie. Nie jest dla niego tajemnicą, dlaczego otrzymał „kosza“... i postanawia inną drogą dojść do celu.

Oto w parę miesięcy po tych niefortunnych oświadczeniach zjawia się inny rosyjski oficer-gwardzista, przyjaciel Balickiego. Przybywa on podobno wprost z Gdańska i, niby o niczem nie wiedząc, zaczyna opowiadać, że jest „po uszy“, ale bez wzajemności zakochany w pewnej gdańskiej patrycjuszce, która zaraz po ukończeniu oblężenia twierdzy wyszła zamąż za oficera artylerji polskiej, Bema, który to, opuściwszy szeregi wojska, pozostał na stałe z nią w Gdańsku. Kłamiwa ta wiadomość spadła, jak grom z jasnego nieba na biedną, łatwowierną i nie rozumiejącą się jeszcze na intrygach, Różę. Po łzach oburzenia, łzach rozczarowania nastąpiła chęć odwetu: Niech wie „nikczemnik“, że i ona nie dba więcej o niego! niech się dowie, że

prędko pocieszyła się po nim, niegodnym kłamcy!

Oświadczyła matce, że po namyśle decyduje się poślubić rotmistrza Balickiego. Owdowiała hrabina Bem de Cosban nie ma nic przeciwko decyzji córki. Balicki oprócz huzarskiego munduru miał „in spe” parę tysięcy „dusz” chłopów na Wołyniu, dawał więc rękojmię dobrobytu. Był polakiem na służbie rosyjskiej, ale w owym okresie zwracania się społeczeństwa warszawskiego z zachwytem od Napoleona ku Aleksandrowi I-mu, nie mogło być uważane za coś ujemnego małżeństwo z rosyjskim oficerem. Przeciwnie, mówiło się wtedy dużo o braterstwie narodu polskiego i rosyjskiego, albo o złotym pomoście między dwoma temi narodami. Było to więc nawet modne... W ten sposób Róża hr. Bem de Cosban, zamiast stać się żoną porucznika artylerji polskiej — Bema, stała się żoną rosyjskiego rotmistrza — Balickiego.

Jaka zaszła rozmowa między ex-narzeczonymi, kiedy Józef Bem przekroczył po powrocie progi pałacyku na Lesznie, nie piszą „pożółkłe kartki”. Nadmieniają tylko, że, na szczęście, rotmistrz był tego dnia na jakimś polowaniu, więc się ze „stryjem Józefem” nie spotkali i że ten ostatni, pełen goryczy, wyjechał tegoż dnia jeszcze do majątku swego ojca — do Słabkowic. Przesiedziawszy niespełna rok w ojcowskim dworze, zjawia się znowu w Warszawie, ażeby przywdziać szlify porucznika 1-ej baterji artylerji konnej nowo formujących się wojsk Królestwa Kongresowego.

Widocznie jednak dochodzi do porozumienia między dawnymi narzeczonymi, gdyż porucznik niebawem zamieszkuje... w pałacyku na Lesznie. Całe górne piętro zajmują tam młodzi państwo Baliccy, parter zaś podzielono na dwa apartamenty: jedną część zajmuje owdowiała hrabina Bem de Cosban, drugą — guwerner z jej synami, a braćmi Róży, z których wówczas, w 1815 r., starszy Józef-Antoni liczy lat siedemnaście, a młodszy, Jakób, zaledwie siedem. W tej też części pałacyku znajduje się rezerwowo pokój „gościnny”, który zostaje ofiarowany na szereg lat, jako kwatery, dla porucznika 1-ej baterji artylerji konnej — „kuzyna Józia”. Tymczasem „mariage de raison” pani Róży, jak zwykle małżeństwa tego rodzaju, w prędkim czasie okazał swoją bezwartość i wewnętrzną pustkę. Rotmistrz Balicki, początkowo płemienny dla młodzieńkiej i uroczej żony, zraziwszy się jej oziębłością, jej „wymuszoną” uległością, sam też obojętnieje i coraz częściej znika z domu, ażeby pocieszać się znajomością z za kulis teatru, lub cyrku. Młoda pani całymi godzinami pozostaje sama... Ale nie nudzi się. Ten, który kochał ją tak wiernie, który niesłusznie został przez nią o zdradę posądzony, jest tuż obok — tak blisko...

Przerwana pierwsza półdziecinnie miłość powraca w obojgu, teraz w innej już formie — choć

odarta z tamtych pierwszych marzeń, ale zato tętniąca niepohamowanym już przez żadne względy tętnem gorącej, pół-węgierskiej ich krwi rodzinnej. On widzi w niej ideał kobiecej urody i kobiecej duszy. Ona zapewne kocha w nim więcej intelekt, niż postać jego fizyczną. Zresztą w owej epoce Józef Bem mógł jeszcze i fizycznie być pociągającym. Nie miał jeszcze twarzy zeszepeconej szramami od nieszczęsnego wybuchu w laboratorium artyleryjskim, nie był jeszcze łysawy, jakim przedstawiają go nam późniejsze jego podobizny. Przeciwnie, według medaljonu z tej epoki, twarz jego przedstawiała się dość urodziwie, „przytem” — jak głoszą współczesne notatki — „choć był on wzrostu niewysokiego, bo tylko 2 arszynów i 5 werszków (sic!), jednak, co bywa rzadkością u ludzi niewysokich, miał klasycznie krótki stan i długie nogi. Szczupły i bardzo cienki w talji, w obcisłym artyleryjskim mundurze wyglądał nadzwyczaj zgrabnie, zwłaszcza uwydatniało się to na koniu i w tańcu. Jeźdźcem i tancerzem był znakomitym. Ruchy miał bardzo żywe i zarówno w ruchach tych, jak i w sposobie mówienia dawała się odczuwać jego energia i wybuchowy temperament”.

Zdaje się, że ta charakterystyka Józefa Bema z lat 1815—1820 wydałaby się dla młodego i chcącego się podobać oficera pochlebna nawet w naszych czasach... w oczach pań naszej epoki.

To też, kiedy w nieszczęsnym dla naszego bohatera 1820 r. twarz jego została „poszarpaną przez wybuch gazów w laboratorium artyleryjskim” i zmienioną nie do poznania — pani Róża najpierw na wieść o tem zaszła, potem, ujrzawszy swego rycerza w szpitalu, „padła zemdlona”. Doglądała go potem, jak najlepsza siostra miłosierdzia, czemu zresztą nikt się nie dziwił wobec bliskiego ich pokrewieństwa i długoletniej zażyłości obu rodzin.

Ten nieszczęsny jednak rok 1820 jakby uwziął się na zakochanych. Niebawem kapitan Józef Bem zostaje z konnej artylerji przeniesiony do polowej pieszej i na skutek pierwszych podejrzeń politycznych i budzącej się ku niemu niechęci Wielkiego Księcia Konstantego wyznaczony do garnizonu w Kozienicach, gdzie też policja polityczna miała nań zwracać czujne oko. Przerywa się więc idylla. Mijają długie miesiące za miesiącami, aż do cichego pałacyku na Lesznie dochodzi wieść o aresztowaniu Józefa Bema w związku ze spiskiem majora Łukaszińskiego. Pani Róża „odchorowuje” te ciosy. Nie były jej obce tajemne spiskowania „jej” rycerza, który przedewszystkiem uważał się za rycerza Polski i polskiej wolności. Po śledztwie, badaniach, w czasie których nie udało się znaleźć wyraźnych dowodów zdrady stanu, kapitan Józef Bem przeniesiony zostaje „na reformę” na pół pensji.

(dok. nast.)

RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA.

TRZY POKOLENIA

Nad terenem P. W. K. kłębi się rozgwar cizby ludzkiej, chrzęści żwir pod nogami, szemrzą niefrasobliwe pogwarki licznych grup młodzieży szkolnej, przybyłej ze wszech stron na Wystawę. Zgrzytają hamulce „Kollatajek“, małych, jak zabawki, tramwajków, przewożących gości gorliwym i niestrudzonym truchcikiem z jednego na drugi kraniec olbrzymiego terenu. Biało ubrane chłopaki nawołują zachęcająco: — Śnieg Taaatra, loody w czekoladzie! — Złośliwe trąby, przepraszam — megafony radjowe — ryczą tubalnie tu i owdzie: — Czy pani kupuje pończochy we właściwej firmie? — lub też: — nie tędy droga! jeśli pan chce kupić prawdziwie piękny krawat, to...

Do tej wibrującej życiem symfonii dźwięków dołącza się śpizowy akord dzwonów, śpiewający gęstym chórem: — Bim, bam, godzina siódma! Bim, bam, wieczór, wieczór! bim bam, skończone oglądanie wnętrza!... — Zgrzytają klucze w drzwiach niezliczonych pawilonów, kiosków, gmachów rządowych, hal. Zwiedzający wysypują się, jak ziarenka z makówek, na ulice, ścieżki, aleje, dążą do „Wesołego Miasteczka“, przysiadają na ławkach, prostują nogi, dzielą się wrażeniami...

Zdrzemnął się Pawilon Prasy. Przedzachodni pomarańczowy promień słońca zagląda jeszcze zezem przez szybę, jakby sprawdzając: czy wszyscy wyszli? nie został tam kto?

Niema nikogo. Cisza i cień rozciągają niewidzialne pajęczyny w opustoszałym wnętrzu.

— No, chwała Bogu, poszli już sobie; można rozprostować nogi! — dzwoni nagle cieniutki głosik ze ścian stoiska „Bluszczu“. Z tytułowej karty „Kultury ciała“ wyskakuje, niby duszek, zamaszysta małeńka dziewczyna w krótkiej sukience z obnażonymi ramionami i szyją; śmigłe stopy furkają jednym susem na stół.

— Niech żyje Wystawa! Niech żyje Poznań! Niech żyje Polska! — woła, fikając radosne kozły, wesola figurka.

— Cicho, cicho — odpowiada zatroskanym szeptem dama z kartonu, podpisanego rokiem Pańskim 1879. — Jeszcze się panienska dostanie do X-go pawilonu. Doniosą generał-gubernatorowi Hurce i nie-szczęście gotowe.

— Tak, tak! — przytakuja dwie panie, wychodzące z dziewczynką na spacer z karty „Bluszczu“, opatrzonej datą roku 1890. — Nie wolno tak narażać siebie i innych. Polski nie zbawi się okrzykami. Tylko praca, pozytywna, realna praca, podziemna nieustępliwa robota może nam pomóc.

Panienska z „Kultury Ciała“, jeszcze pachnąca świeżą drukarską farbą, zwija się ze śmiechu.

— General, jakże go tam, Hurko już dawno rozsypał się w ziemi. Mamy wolną, niepodległą Polskę i taka już pozostanie po wiek wieków!

Zatrzepotał, zaszeleścił furkot jedwabny ze ścian stoiska. Przydreptały na papierowych nóżkach wszystkie damy z kartonów. Piękność w krynolinie, pani w zielonej sukni z turniurą, i ta w rękawach z aniołkami i tysiącem, niby z kremu, riuszek, i owe trzy z r. 1904, wcięte, jak osy, z wypuczonymi biustami, w kapeluszach na czubku głowy i tamte dwie z r. 1913, w spętanych u dołu spódnicach, noszące na głowach koła młyńskie, ozdobione brodatami plerzami.

— O Boże, co pani mówi!? Co za szczęście! — wołają zgodynym chórem.

— Tak, tak! — drze się radośnie nowoczesna dziewczyna. — Niech żyje Polska!

— Bogu dzięki, Bogu dzięki — chlipią w koronkowe chusteczki wszystkie damy.

— Czego płaczecie? Cieszcie się raczej!

— To z przyzwyczajenia — odpowiadają unisono. — A teraz opowiedz nam, jak się to stało. Jak się wam teraz żyje? Jak...

— Możebyś się panienska jednak ubrała — proponuje dama z turniurą. — Strój twój jest nieobyčajny, nawet wśród samych kobiet. A te krótkie włosy? Czy panna chorowałaś na tyfus?

— Ależ my teraz wszystkie tak się nosimy! — tłumaczy przedstawicielka dnia dzisiejszego.

— Co?! — wołają zdumione lalucie.

— A gdzie gorset?

— Gdzie koszula?

— Gdzie majtki z koronkami?

— Czemu nosisz tylko halkę, i to krótką do kolan?

— Ależ to jest moja suknia! jestem zupełnie ubrana.

— Co? a nogi do kolan odsłonięte!

— Wszystkie tak się obecnie ubierają.

— Wstyd, wstyd! Gdzie kobiece wstyd?

— Czy to wstyd mieć nogi? A czy panie nie odsłaniałyście szyi, idąc na bal?

— Na balu co innego, zresztą, to szyja, a nie nogi.

— Nic nie rozumiem! — dziwi się figurka z „Kultury Ciała“. — Nogi wstyd, a szyja nie wstyd; na balu nie wstyd, a na codzień wstyd. Zaraz, zaraz, niech ja to pokombinuję.

— Rozumuje zupełnie słusznie — potwierdza rezolutnie dama w spętanej sukni, potykając się w podskoku. — Zresztą, i ja też mam proste i ładne nogi.

— I my też, i my też — podchwytyją skwapliwie: ta z papugą na głowie i ta z aniołkami.

— C'est d'une indécence — mruczy dama z turniurą, zaciskając spódnicę na cokolwiek rokokowo wygiętych nogach.

— Niech kochana babcia zechce zrozumieć... — usiłuje wytłumaczyć panienska dzisiejsza.

— Babcia? — obraża się dama z turniurą — ależ ja mam 25 lat!

— Ach, przepraszam! — chwyta się za głowę panienska z „Kultury Ciała” — ale Pani tak mi przypomina moją babcie, tylko ona ubiera się trochę krócej. Jesteśmy zatem rówieśnikami. Proszę nie gniewać się na mnie, ale mam wrażenie, że ja wyglądam znacznie, znacznie młodziej.

— Prawda, prawda, to zdumiewające—zgadza ją się wszystkie kartony.

— A widzicie! A wygodą, to nie? Gdzieżbym ja w wysokim i sztywnym kołnierzyku, ściśnięta gorsetem, mając głowę, obciążoną tyłu lokami i szynionami, mogła biegać codziennie do biura, wskakiwać do tramwaju, uprawiać sporty?

— To Pani pracuje w biurze? — dziwią się wszystkie. — A rodziców Pani nie ma?

— Ależ mam, oni też pracują. Mama jest posłanką, a ojciec nauczycielem.

— Co? posłanką? — pyta pani w riuszach. — Za moich czasów w Warszawie posłańcami mogli być tylko mężczyźni. Tacy w czerwonych czapkach, prawda?

— Ależ nie! moja mama jest posłanką na sejm.

— Co? Kobieta deputowaną? — wydziera się okrzyk podziwu ze wszystkich piersi.

— Ależ tak — prostuje się z dumą panienska dzisiejsza. — Obecnie kobiety biorą czynny udział we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego, społecznego, a nawet politycznego. Moja siostra jest adwokatką.

— Mnie to nie imponuje — kryguje się pani w młyńskim kole z plerezą. — Moja cioteczna siostra była lekarką. Coprawda, rodzice jej strasznie byli przeciwni temu, żeby panna z porządnego domu krajała trupy i oglądała nagie ciała, ale ona uparła się i skończyła uniwersytet.

— Teraz żadni rodzice nie sprzeciwiają się już temu, żeby ich córki odbywały wyższe studia. Obec-

nie każda z nas musi mieć jakiś fach i pracować zarobkowo. Jest to konieczne ze względu na ekonomicznych; inaczej przeciętna inteligentna rodzina nie zdołałaby się utrzymać na pewnym poziomie życia kulturalnego.

— Jak ona mądrze mówi — zauważyła śmieszna dziewczynka, wcięta w pasie, ubrana, jak dorosła, ta sama, co w r. 1904 zamierzała wyjść z karty „Pluszczu” na spacer z mamą i ciocią.

— Czyż nie uświadamiacie sobie — ciągnęła, zachęcona tą pochwałą, panienska współczesna,— że rola dziejowa kobiety jest olbrzymia, że pod względem uzdolnień nie pozostajemy w tyle za mężczyznami, ponadto obdarzone jesteśmy w większym od nich stopniu poczuciem odpowiedzialności, obowiązku, nie mówiąc już o intuicji. Dlatego, otrzymawszy równe prawa obywatelskie, musiałyśmy objąć równie poważne obowiązki.

— Za moich czasów kobiety nie potrzebowały pracować — szczebiocze pieszczotliwie dama, poprawiając wałek z włosów, uwierający jej czoło.

— I cóż robiłyście po całych dniach?

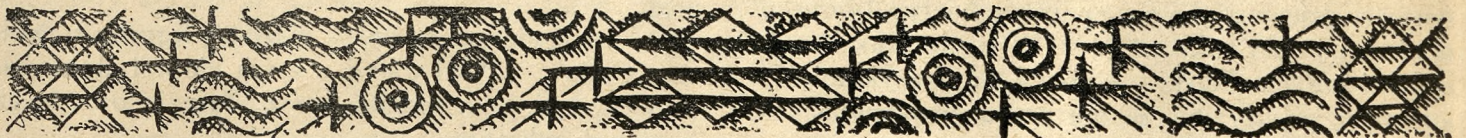
— Ścierałyśmy kurze, grywałyśmy na fortepianie, czytałyśmy wzruszające powieści, pisałyśmy pamiętniki...

— Przepraszam — wtrąca surowo pani w riuszach — uczyłyśmy dzieci czytać i pisać, pomagałyśmy więźniom politycznym, pielęgnowały w narodzie miłość ojczyzny i tęsknotę za wyzwoloną Polską; zagrzewaliśmy do pracy nad odzyskaniem wolności, a wszystko pokryjому, w cieniu, niejako pod ziemią. Ileż to z nas przypieczętowało ową pracę zesłaniem na Sybir, męką moralną i fizyczną, cierpieniem nieustannym do końca życia!...

— Biedne, kochane, dzielne siostry—zadumała się panienska współczesna.— O ile my jesteśmy szczęśliwsze! To wy pracą swoją i poświęceniem usłałyście nam drogę do dzisiejszej rzeczywistości. Nasze „dziś” nie jest też bez ale, ma swoje cienie, kolce i ciernie. Ale gdy porównam naszą dolę i waszą.. No, ale nie trzeba się roztkliwiać. Niech żyje Polska wolna i szczęśliwa!

— Niech żyje! — buchnął radosny chór.

Malinowy brzask zajrzał przez szybę, ciekaw, kto tak pokrzykuje. Panienska z „Kultury Ciała”, piękność w krynolinie, damy wcięte w pasie, i ta w riuszach, i tamta z turniurą, i śmieszna dziewczynka — wskoczyły na swoje kartony i znieruchomiały. Zardzewiałymi pawilonu zaszeplecił senny krok dozorecy, zamiatającego ulicę.



WANDA MELCER-SZTEKKEROWA

W „WESOŁEM MIASTECZKU“

W ten piękny, słoneczny dzień porwała mnie i uniosła skłębiona fala ludzi przez ulicę 27 Grudnia i przez Most Teatralny ku Wystawie.

Idzie orkiestra i dmie w połyskliwe, żółte trąby, aż policzki puchną; banda małych łobuziaków biegnie przed orkiestrą, gwizdząc donośnie i do taktu tę samą, co i orkiestra, melodję. Daleko już został za nami szeroki prospekt świętomarciński z tą tak zachęcającą restauracją, gdzie na szyldzie wymalowani są tłuści, po egipsku jednym profilem i jednym okiem wykręceni panowie, zajadający nogę wieprzową „tanio i smacznie, jak u matki!“.

Długi sznur powozów jedzie przez całe miasto, pełne chorągwi i wesela. Konie ciągną poważnie i rozważnie wehikuly, tak ubrane kwiatami, że wyglądają, jak żyjący ogród króla Dunkana, nie są jednak tak straszną przepowiednią. Szprychy kół owinięte są bzem i tulipanami, całe wiechy bzu i akacji oceniają wspaniale wnętrza, stangreci mają do batów uczone bukiety, jakby wiezli nowo poślubionych. Niema kobiety, któraby zazdrośnie nie lypnęła okiem na panów, zajmujących te wehikuly i ciągnących w paradzie przez całe miasto: zielone, łowieckie stroje ukompletowane są kapeluszami z prawdziwymi, cokolwiek zresztą żółtkłemi rajarami. To strzelcy kurkowi obwożą w triumfie nowo obranego króla.

Wszystko to jedzie, idzie, wali w jednym tylko kierunku. Bo:

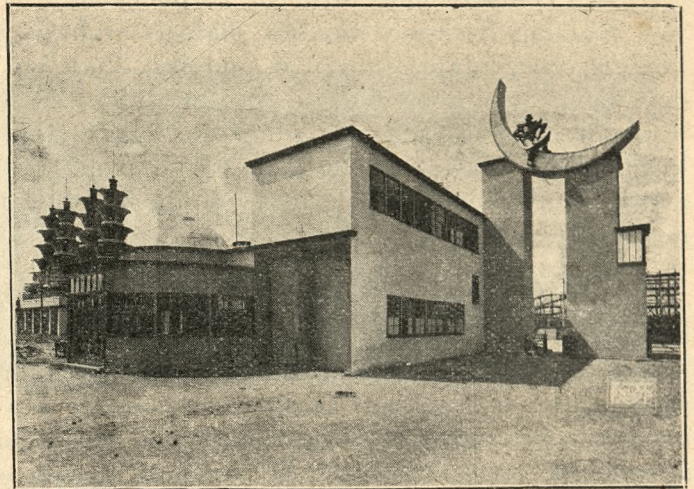
— Czy pan (pani) widział wystawę? Jest tam ale co zobaczyć!

I naprawdę jest co zobaczyć. A przede wszystkim ruch, gwar i hałas nieopisany.

Na jednej z alej, przesłonicznej alejce wśród kwitnących tulipanów, cudnie w łowieckie stroje odziane



Wioska arabska w „Wesołym Miasteczku“



Gospoda „pod Twardowskim“—przy wejściu do „Wesołego Miasteczka“

panienki zatrzymują dwóch elegantów:

— Może panowie kupią bilety na loterię?

— Jeżeli można wygrać panią!...

— O, ja nie jestem do wygrania! — i śmieje się dość zalotnie. Tak się to wszystko odbywa po wersalsku.

Wielkie, żółte, pod niebem uwiązane balony oznaczają najweselsze miejsca: restaurację, gdzie można wypić piwa w cieniu olbrzymich parasoli; „Wesołe Miasteczko“, gdzie można pojechać na karuzeli. W białych pawilonach, jak okrągłe gołębniki na olejno malowanych słupach, siedzi przemysł chemiczny, a cementownie wystawiły pawilon, jak schody, o wielkich, przezroczystych, błyszczących w nocy literach.

W strzelnicach siedzą na półkach ścian fioletowe i żółte niedźwiadki; kto szczęśliwy i celnie strzela, może któregoś z nich, oswojonego, zaprowadzić do domu. Ponieważ ten kolor futra u niedźwiedzi jest widocznie w modzie (czyż tylko lisy mają się dać farbować na różowo i „beige“), więc tuż obok, gdzie się miota kości, są też składy tych samych niedźwiedzi. Niestety, wyrzucam trzynastkę i zamiast misia, dostaję notes w ceratowej oprawie. Jednak tak nigdy nic nie wygrywam, że i tę zdobycz unoszę w triumfie.

„Najpiękniejsze kobiety świata“ i tylko dla dorosłych! Przed kasą tłoczy się kilkanaście zupełnie dorosłych osób, żeby wejść do małego namiotu, z którego, przy otwarciu drzwi, widzę i wewnątrz tylko płótna. Napewno nas tam oszukają i nie zobaczymy żadnej pięknej kobiety. Tu wchodzić nie należy!

Duży napis „Teatr pcheł“; przed wejściem pan, uprzejmie zapraszający i wykrzykujący program.

To już bezwzględnie „Etwas für Sie“. Wchodzę. Zzewnątrz zatrzymał mnie na chwilę wspaniały szyld, na którym kanonjerzy, za pchły przebrani, strzelają do wyniosłego zamku.

— Przedstawienie zaraz się rozpoczyna!

Siadamy wszyscy wokół małego stolika, na którym spoczywają aktorzy w pudełku. Pudełko to dziwnie przypomina damski nesoser, tylko, że my w naszych nesoserach normalnie nie trzymamy takich rzeczy. Nawet za zakładkami są wielkie nożyczki i szczypce, zupełnie przecież niedostosowane do wzrostu aktorów.

Więc najpierw dają nam szkielko powiększające, za którym, wpół przewiązana cienutkim drucikiem, jak szarfą, znajduje się inkryminowana. Tuż obok przyrząd, przypominający szubienicę, który uczy pchłę, jak ma nie skakać, a chodzić... I nie mogę też powiedzieć, że wszystkie te wdzięczne stwórczenia powyskakiwały ze swoich kryjówek i chcą mnie zjeść — uczucie, którego podobno wszyscy zwykle doświadczają.

Scena, to rodzaj talerza marmurowego, białego, na trzech wysokich nóżkach, gdzie wszystko doskonale widać. Wszystko odbywa się bardzo ucziwie: nikt nawet nie stara się w nas wmówić, że pchły są rzeczywiście tresowane. Odrazu widać, po wszelkich demonstracjach drucików, szczypiec i tresury, że te maleńkie armatki toczą się tylko dlatego, iż talerz jest pochyły, i tylko dlatego jeżdżą po nim karety, których nikt nie ciągnie, choć jest do nich mocno uwiązany. Dwie pchły, przykrępowane do reku, tylko dlatego poruszają cienkimi papierkami, którymi się nibyto fechtują, że (o, jakże rozumiem zwierzęta!) chwytają, co mają pod ręką, że się tak wyrażę, by dźwignąć się na nogi, jak na grzbiet przewrócone chrabąszcze.

I pomyśleć, że człowiek tak zawsze boleje nad tresurą zwierząt! Lwa się nazywa królem pustyni i żałuje się go, gdy siedzi w klatce; jakież jednak będą tytuły pchły do naszego współczucia i żalu? Więc też, chociaż nie wierzymy szumnym zapewnieniom ich pracodawców, że pchła, po trzymiesięcz-

nej pracy idzie na dobrze zasłużoną emeryturę — wychodzimy z pawilonu bez wyrzutów sumienia.

Jacy dowcipni są ludzie, kogóż to nie wyzyskują! Trzeba jednak być pomysłowym, żeby żyć z pracy pchel. Czy niema jeszcze syndykatu tych zwierząt, któryby bronił ich praw?

Na milej tej rozrywce zeszedł mi wieczór. Powietrze ochłodziło się trochę, kolorowe światła zapalają się naokoło. Wirują huśtawki i karuzele.

— Panienko, mała panienko, zgubiła panna chusteczkę! — tak zaprasza jakąś samotną młodzieniec na aeroplan, który mknie na wysokości pod niebieskim niebem karuzeli.

Odchodzę w bok, przechodzę pod oświetloną bramą i idę przed siebie szeroką, drobnym żwirkiem wysypaną aleją. Pawilony już są pozamykane, ale świecą się od wewnątrz ich szerokie okna, przez które można zaglądać. Po alejach chodzą tylko stróże nocni i gracują ścieżki kobiety z polewaczkami. Coraz bardziej milknie gwar wesołego miasteczka. Białe księżyc nie może rywalizować z różnobarwnymi konstelacjami szyb i chowa się za przelotną chmurę.

Jest cicho i bardzo dziwnie. Mocno pachną bzy z ogrodu. Na białych, wygiętych deszczulkach, na szpalerze, olejno pomalowanym, czytam napis: „barwny ogródek“. To reklama jakiejś spółki nasienniczej. Przechodzę przez pergolę, między „w cyfrę powiązany płótek“ i pochylam się nad kwadratami ciemnych ziół. Miło mi tak się nad nimi pochylać w nocy i myśleć, że w dzień zakwitają dziesiątkiem najpiękniejszych, wiosennych kolorów.

Świeży powiew przeciąga powietrze. W małych basenach miarowo pluszcze woda, w tych samych basenach, w których rano dzieci będą znowu przytrzymywać palcem jeden kurek, żeby drugim woda wyżej tryskała, i będą przykładać do tego drugiego spragnione, malutkie usta.

A rano przejdzie znowu zawzięty, starszy pan, ujmie pod rękę czcigodną małżonkę, podprowadzi ją do źródła, nad którym siedzi kamienna rzeźba, i zapyta groźnie:

— A to co za syrena?!



„Taniec góralski“—witraż w Pawilonie Spółdzielni Rolniczych na P. W. K., projektowany przez p. Jadwigę Czarnecką-Lewakowską

WANDA DOBRZAŃSKA

ŚWIATŁA I CIENIE NA P. W. K.

Działo się to w pierwszych dniach maja. Wichrem a deszczem smagani, w nastroju najwyższego pośpiechu i napięcia, pracowaliśmy dniem, nocą nad dekoracją i wykończeniem stoisk. Był to okres ciągłego zmagania się z przeciwnościami, stałej walki podjazdowej z błyskawicznie pędzącymi godzinami. Błądzenia w krainie cieni i lęku, że nie starczy czasu, odporności, sił i nerwów — że wszyscy nieomal wyłamiemy się przed metą!

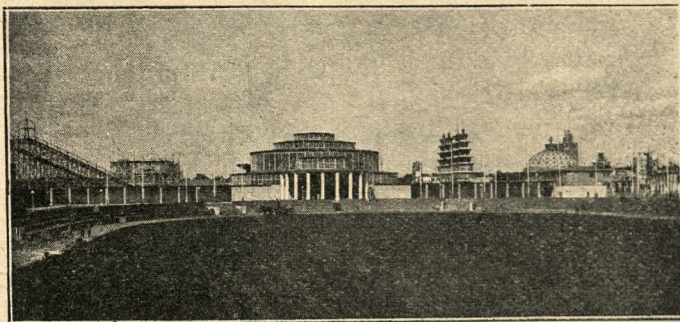
Aż oto nadeszła pamiętna noc. Noc, tętniąca życiem, skąpana w potokach różnobarwnych światel elektrycznych, roztrzepotana skrzydłami flag narodowych Polski i wszystkich Państw zaprzyjaźnionych; rozśpiewana trąbkami samochodowymi i odbierającymi im głos słowiczemi trelami. Radosnym nastrojem do życia zbudzone, stały się na apel łany tulipanów, przystrajające tereny, chyląc w kornym pokłonie purpurę rozchylonych kielichów. Aksamitne bratki opasały barwnymi wstęgami gmachy i pawilony, rozwarły się naścieżaj wrota zaczerowanego pałacu palmiarni, wspaniała fontanna poraz pierwszy zaszemrała srebrnymi kaskadami.

A chociaż 16 maja zbudził się w nielaskawym nastroju, chłodny, w sobie zamknięty, mgłą chmur i deszczu od radości ludzkiej odgradzony — był on i pozostanie na zawsze świetlanym punktem w dziejach ostatniego dziesięciolecia.

W dniu tym osunął się z ramion ludzkich ciężar trosk i powątpiewania; przycichła wiecznie głodna i niczem nienasycona żądza krytyki; wszystkie dłonie wyciągnęły się do braterskiego uścisku, zaniknął nawet ślad animozyj dzielnicowych.

Niestety, radosne napięcie załamało się już w pierwszych dniach po otwarciu bram Powszechnej Wystawy Krajowej! Malkontenci zabrali się po mistrzowsku do dzieła, uderzając taranami rozgoryczenia, krytyki i niczem nieusprawiedliwionych zarzutów w triumfalną bramę, poza którą Królowa Chwili, stale wichrem i deszczem smagana, wylaniała się zaledwie z obsłonek. Przygotowana do triumfów i chwały — stuliła skrzydła, pochyliła dumną, wysoko dotąd wzniesioną głowę, pod ciężarem złości ludzkiej i plotki!

Komu ze zwiedzających w początkowym okresie Powszechnej Wystawy Krajowej i dlaczego zależało na podkopywaniu radości społeczeństwa i wiary zagranicy — tego nie zbadamy nigdy. Ten smutny i nieoczekiwany przejaw mógł zrobić wiele złego, gdyby nie prawdziwa spiżowa moc, nie nagromadzenia realnych wartości, jakimi przemawia do



Wielka arena widowiskowa

wszystkich — do swoich i obcych — P. W. K. Walcząc za prawdę, można o niej pisać jedynie słowami, pełnymi radosnego światła — cienie, maleńkie cienie, pelzają gdzieś w ukryciu, a jeżeli je kto przejaszkawia i przecenia, to raczej może pod wpływem wielkiego zmęczenia, wywołanego zwiedzaniem Wystawy, niż rzeczywistych, realnych przyczyn.

Vox populi — słusznie, jako Vox Dei uznany — zdecydował już nieodwołalnie, że pokaz dorobku ostatnich lat dziesięciu jest rewelacją i to rewelacją radosną, przejmującą cały kraj zasłużoną dumą.

Półseny nastrój początkowego okresu poszedł już w niepamięć! Przez szeroko rozwarte, liczne wrota P. W. K. płyną i płyną tłumy pielgrzymów. Rojno jest, gwarno i radośnie na olbrzymich, ukwieconych terenach, w monumentalnych gmachach i strzelistymi wieżyczkami zdobnych pawilonach.

Cudowna wiosenna flora złożyła niepostrzeżenie berło w ręce zbliżającego się szybkim krokiem lata. Zniknęły tulipany, bratki, imponujące królewską krasą rododendrony i ogrodowe azalje, a na ich miejscu zakwitły purpurą pyszne, wspaniałe odmiany pelargonij, rabaty róż, kobierce, strojne wonnemi, wspaniałemi kielichami różnobarwnych petunij. Błękitne wstążeczki lobelij, mięsiste różowe kwiatki prześlicznych begonij, pojawiające się tu i owdzie dekoracyjne gwiazdy dalij — są jakoby symbolem trwałej, nienaruszalnej, ugruntowanej już dzisiaj na niezłomnych fundamentach chwały P. W. K.

To królestwo barw i woni, rzucone na tło wspaniale utrzymanych rozległych trawników, najpiękniejszych drzew i krzewów, jest jakoby symbolem zwycięskiego triumfu P. W. K., a towarzyszyć mu będzie aż po dzień zatrzaśnięcia bram, przez które płynie w szeroki świat sława polskiego imienia!

Jakże szczęśliwą jest chwila, w której można bez zastrzeżeń przemawiać słowami radosnej dumy,

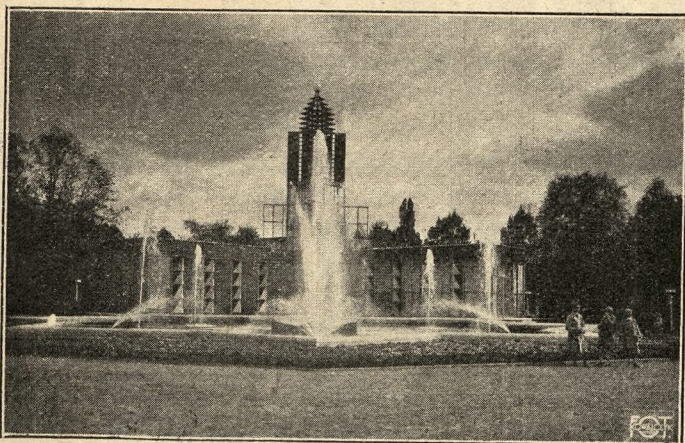
bez obawy, że doszuka się w nich kto celowej propagandy! Jesteśmy już, bowiem, daleko poza okresem zjazdu dziennikarzy, których zadaniem było urabianie opinii ogółu. A chociaż pracę tę podjęto z wiarą w świętość i czystość sprawy, nie wiedzieliśmy wówczas jeszcze, nie śmieliśmy wierzyć, że dano nam w ręce diament tak nieskazitelnie czystej wody.

Zapytacie, i słusznie, gdzie są zapowiedziane zgóry cienie? Tyle tu entuzjazmu, tyle światła i słońca w tych rzuconych na papier słowach! Zapewne, są i cienie — maleńkie skazy na cennym, drogim kamieniu, zaledwie widoczne plamki na słońcu. Wśród nich jedynym realnym jest może, nie dorastająca do ogólnego poziomu Wystawy, sprawa znajdujących się na jej terenach przybytków sztuki kulinarnej.

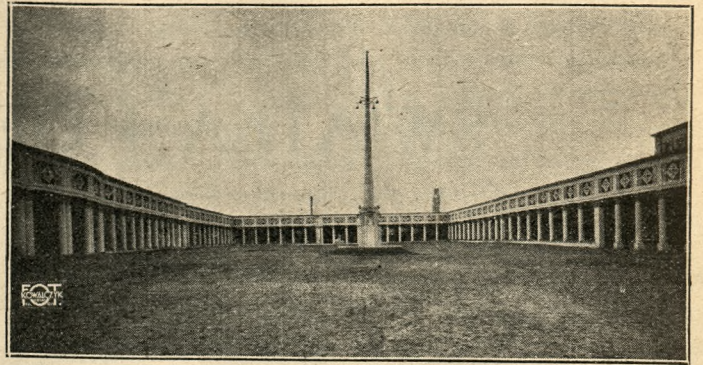
Aby znaleźć się w prawdziwie kulturalnym i odpowiadającym wysokim już dzisiaj naogół wymaganiom, lokalu kawiarnianym lub restauracyjnym, trzeba dotrzeć do miasta, stracić kilka godzin cennego czasu, a wracając wykupić powtórnie bilet wejścia. Na samych terenach nie spotykamy bowiem zakładów, które zdołałyby bez zarzutu odpowiedzieć swemu zadaniu.

Wystawa, której gruntowne zwiedzenie wymaga nie godzin, a szeregu długich, mozolnych dni, powinna posiadać na swoich terenach zakłady gastronomiczne dwojakiego typu. Jedne, przeznaczone dla ludzi, rozporządzających ograniczonymi środkami; drugie — dla tych, którzy mogą płacić za komfort i wykwiut, którzy go nieomal żądają. Tego koniecznego rozróżniczkowania nie uwzględniono. Wszystko, co jest, jest jakieś niedociągnięte, mało pociągające, dalekie od ideału, nie stoi na wysokości zadania.

Powtarzające się, aż do znudzenia, jadłospisy



Fontanna na tle Pawilonu Szkl



Podwórzec honorowy ze wspaniałą kolumną

najtańszej z jadłodajni, umieszczonej w podziemiach browaru Huggera, z nogą wieprzową, otoczoną nimbem nienaruszalności, wędzonką i „białą kielbasą“ na czele; liczne, osiadłe na werandach terenu zachodniego restauracyjki, o drugo i trzeciorzędnym typie, kawiarenki, obniżające sławę wybornej, podawanej w cukierniach śródmieścia kawy — to nie to, czego mają prawo oczekiwać ci, wśród zwiedzających najliczniejsi, — którzy budżetu swego przekroczyć nie mogą, a są skazani na zaspokajanie podnieconego całodziennym marszem głodu w sposób więcej niż prymitywny.

Daje się też dotkliwie odczuwać brak chociażby jednej restauracji i jednej cukierni, postawionej na stopie europejskiej — lokali, które dawałyby pełne zadowolenie, były miejscem miłego wytchnienia, miejscem przyciągającym, a nie prawie że smutną koniecznością.

Są to jednak niedociągnięcia, wynikające nie z zaniedbania, lub złej woli, ale poprostu spowodowane zrozumiałem w tak ciężkim okresie ekonomicznym zaleźnieniem prywatnej inicjatywy, która zawiodła na całej linii.

Wszystkie inne zarzuty — jak obwoływana po świecie rzekoma drożyzna, niedogodności mieszkaniowe i t. p. — są nietylko bezpodstawne, ale gołosłowne i kłamliwe. Mieszkań jest pod dostatkiem i to przystosowanych do wszelkich środków i wymagań; ceny produktów spożywczych trzymają się w normach, nieprzekraczających cen, notowanych w innych latach w Poznaniu; wyzysku, złej woli i wykorzystywania chwili nie spotyka się w żadnej dziedzinie. Przeciwnie, wszyscy postępują z przyjezdnymi w sposób nietylko ucziwy, ale zobowiązujący, starając się solidarnie o pozostawienie gościom, przybywającym do Poznania, jak najdodatniejszych wspomnień i wrażeń.



PAWILON PRACY KOBIET

Całkowite zobrazowanie pracy kobiet polskich z ostatniego dziesięciolecia było zadaniem arcytrudnym, raz dlatego, że, o ile wiem, jest to pierwsza próba w tym rodzaju, powtóre, że poza dorobkiem w organizacjach specjalnie kobiecych i indywidualnymi wysiłkami jednostek w t. zw. wolnych zawodach — „gros” pracy kobiet, zatrudnionych na roli, w gospodarstwie domowym, w handlu i przemyśle, w szkolnictwie, w biurowości, w służbie zdrowia i t. d., wsiąka prosto w ogólną sumę pracy zbiorowej, pospólnie męskiej i żeńskiej, prosto ludzkiej i trudno ją z tej masy wyeliminować. Niema chyba w Polsce jednego ziarna, któreby nie przeszło przez ręce kobiece, a każda bryłka węgla nosi na sobie niewątpliwie dotknięcie dłoni jakiejś „Lenorki”, która, choć nie wylaływa jej kilofem w głębinach kopalni, ale zmuśnie przebierała na sortowni. Nie będziemy mnożyć przykładów, ale wszędzie, gdziekolwiek stąpimy, we wszystkich pawilonach Wystawy natrafiamy na, bezimienną najczęściej, pracę kobiet, wtopioną bez widocznego śladu w ogólnonarodowy dorobek. Wydobyć jej stamtąd na światło dzienne wymagałoby długich studjów statystycznych i niesłychanie przejrzystego układu w wykresach. Kto wie, do jakich rewelacyj doszłoby się tą drogą, ile w tej pracy ujawniłoby się krzywdy i wycisku, ile owocnych wysiłków, ile zmagañ niepotrzebnych, a nawet zgoła szkodliwych. Przeprowadzone w ten sposób badania otworzyłyby niewątpliwie nowe horyzonty przed kobietą polską i mogłyby się stać narzędziem celowej propagandy w ugruntowanej na zdrowych podstawach sprawie kobiecej. Jest to jednak narazie muzyka przyszłości.

W Pawilon pracy kobiet organizatorki jego niewątpliwie włożyły dużo pracy i zabiegliwości. Zgromadziły wszystko, co się zgromadzić dało, dzielnie stawiały czoło trudnościom finansowym, borykały się z brakiem miejsca i z narastającą pod ręką rozległością zadania.

Pawilon powstał wprzód, zanim jego idea doj-

rzała i skryształizowała się dostatecznie, wskutek tego stał się fragmentarycznym pokazem, zamiast się stać syntezą pracy kobiecej. Wysiłki organizatorek poszczególnych działów poszły w kierunkach rozbieżnych, każda po swojej linii; zabrakło ostatecznego momentu centralizującego, któryby je skupił w jedną całość konstrukcyjną. Objaw, dający się bardzo często zaobserwować w pracy kolektywnej, nie zniwelowanej i nie związanej mocną ręką jednostki.

Wnętrze pawilonu nie jest skomponowane artystycznie, nie skupia uwagi zwiedzającego na jakichś punktach szczytowych. Tablice, wykresy, gabloty i poszczególne eksponaty nie są wyzyskane należycie pod względem dekoracyjnym, a przecież mnóstwo tam jest rzeczy ciekawych, nowych, przekonujących, specjalnie na Wystawę opracowanych i przygotowanych. Ale tego wszystkiego trzeba szukać, a na wystawie ludzie nie mają czasu i ochoty na szukanie, szczególnie, że w innych pawilonach postarano się ten ich czas umiejętnie wyzyskać, a ochotę podniecić. Stosunkowo najdokładniej opracowane zostały sprawozdania stowarzyszeń, bo, rzecz prosta, każde chciało się wylegitymować swoim dorobkiem — najciekawszy jest dział historyczny, w którym widzimy np. odezwy Kościuszki do kobiet w 1794 r., portrety i fotografie uczestniczek walk niepodległościowych i prac konspiracyjnych.

Natomiast działy: artystyczny, sztuki stosowanej i zawodowy nie dają dostatecznego pojęcia o zasięgu i rozciągłości pracy kobiecej w tych dziedzinach; wina to zresztą samych kobiet, które niechętnie nadsyłały eksponaty do Pawilonu kobiecego i wołały, aby ich nazwiska figurowały w Pałacu Sztuki i w innych pawilonach specjalnych. Umieszczenie na dachu pawilonu kawiarni Kuźniczanek jest pomysłem szczęśliwym, ściąga bowiem publiczność zarówno żeńską, jak męską i skłania ją choć do rzucenia okiem we wnętrze Pawilonu. *N...ska*



W PAWILONIE PRASOWYM

Z roku 1557 zachowane są w Bibliotece Jagiellońskiej pierwsze „nowiny”, wydane w Krakowie. Trzy i pół wieku zgórą dzieli nas od tej daty. Jakich odległych mamy protoplastów, my, publicyści polscy, niektórym sądzono było zwiastować światu wielką nowinę odrodzenia Polski Niepodległej! Nasze drzewo genealogiczne korzeniami swemi tkwi w bogatej glebie polskiego Renesansu, pierwsze swe soki czerpało w tem życiu bujnym, szerokim, dostojnym. „Noblesse oblige”, — powinniśmy o tem pamiętać, my, listki i płatki, trzepoczące się na konarach odwiecznego dębu.

A oto łacińska „Nowina”, pisana w Poznaniu w Roku Pańskim 1567, a wystawiona w Pawilonie Prasy na P. W. K. w r. 1929, podaje:

„.... jak to Pan Bóg na własną chwałę, a na pohybel heretykom, ukarał w Poznaniu w dniu Wszystkich Świętych Roku Pańskiego 1567 Starostę Generalnego Wielkopolskiego, gdy kąpiel sobie sposobił, i jak w tymże świętym dniu dzwon, z rozkazu heretyka Stanisława Górki, dziedzica Kórnika, przez bluźnierczych jego pachołków na armatę topiony, w niebo na ognistych skrzydłach ulatując, pachołki one bezbożne ogniem poraził śmiertelnie”.

Wiadomość bardzo charakterystyczna w epoce „nowinek religijnych” i zawziętych walk o wiarę. I jak niedaleko odeszliśmy od tych czasów w dziedzinie sensacji, skoro jeszcze całe szpalty pism można zapełniać rewelacjami o „cudownym Jakóbku”, a codzienny horoskop, stawiany przez fachowego astrologa, znajduje gorliwych czytelników we wszystkich sferach...



P. Prezydent Rzeczypospolitej w Pawilonie Prasy

Po szeregu ulotek, efemeryd, prób, nie trwających dłużej, niż śnieg marczy, dopiero r. 1729 wprowadza radykalną zmianę. W tym roku bowiem pijar Jan Naumański rozpoczyna w Warszawie regularne wydawnictwo tygodnika „Nowiny Polskie”, które ze zmianą właścicieli, kierunku, a nawet tytułów przetrwało do końca XVIII stulecia. A potem to już całe roje: pszczoł, mrówek pracowitych, motyli, bąków kąśliwych i trutni. Bo prasa, to jak świat owadów: wszędzie jej pełno, wszędzie miód sący lub jady, zgodnie z naturą swego gatunku...

Dwieście lat nieprzerwanego istnienia prasy polskiej! Szmata czasu, kawał żywej historii! W pawilonie prasy, organizowanym przez Polski Związek Wydawców gazet i czasopism, dział historyczny przejrzyste i zajmująco ułożył kolega Jarkowski. Jemu też zawdzięczamy cały szereg objaśnień, które tchnęły życie w martwy papier eksponatów.

Doba upadku Rzeczypospolitej sprowadza w ówczesnej prasie polskiej zrozumiałą zastój i martwość. Dopiero lata 1815—1830 wywołują ożywienie i rozkwit na wszystkich polach publicystyki. Pojawiają się pierwsze pisma dla kobiet: „Kurjer dla płci pięknej”, „Warszawianin”, poświęcony modom, „Bronisława” i inne. Z pewnym rodzinnym wzruszeniem ogląda się te „babki” i „ciotki” naszej obecnej prasy kobiecej. Wyrazem troski o młode pokolenie są pierwsze pisma dziecięce: „Ziemiomysł”, „Tygodnik dla dzieci”, wypożyczone na Wystawę, zarówno jak pisma kobiece, z Biblioteki Krasieńskich.

Rok 1830 zamyka usta prasie w Polsce ręką z żelaza. Zmuszona do milczenia w kraju, tem żywiej wypowiada się ona w pismach emigracyjnych, bogato reprezentowanych na Wystawie, dzięki eksponatom, wypożyczonym ze zbiorów Rapperswilskich.

Prasa — to seismograf, notujący wszystkie wstrząśnienia życia narodowego. W latach 1846—48 całe stada jaskółek publicystycznych zwiastują wiosnę ludów. Ten sam objaw widzimy w latach 1861—1864. Prasę powstańczą, tajną, pokazano na Wystawie częściowo w oryginałach, częściowo w odbitkach fotograficznych.

Dalej idzie prasa współczesna. Przy wejściu do stoisk poszczególnych firm wydawniczych wiszą witryny z gazetami treści społeczno-politycznej. Prasa terytorjalna ugrupowana według poszczególnych dzielnic, prasa specjalna — według treści. Oprócz pism, wydawanych w Polsce, nie brak i prasy polskiej zagranicznej.

A teraz — dział osobliwości. Imitacje, kaprysy, karykatury i parodje. Oto gazetka, pisana przez Deo-

tymę i jej siostrę, kiedy były młodemi panienkami. ilustrowana zapomocą rycin, wycinanych z pism zagranicznych. Oto „Nasze środy” — gazetka, pisana w ostatnich latach XIX w. przez lotny klub dziennikarski. Poufne zwierzenia ówczesnej cyganerii warszawskiej, niepodlegające cenzurze. Egzemplarz „Kurjera Codziennego”, drukowany na jedwabiu dla opuszczającego dziennik redaktora Wacława Rakowskiego. Dalej — numery primaaprilisowe przeróżnych pism, prasa współczesna z przed lat kilku, spardjowana dowcipnie przez humorystów, wreszcie prasa futurystyczna, a zatem: „Nuż w bzuhu”, „Wiatr w rosole”, „Zielony murzyn” i inne curiosa w tym rodzaju.

Dokładne zdjęcia wszystkich eksponatów w pawilonie polskim na Wystawie w Kolonji stanowią pewnego rodzaju raport fotograficzny o tym zbiorowym debiucie prasy polskiej na arenie wszechświatowej.

Wreszcie w poszczególnych stoiskach rozłożyły się obozem znane firmy wydawnicze, każda w pełnym szyku bitewnym, zbrojna w pociski, wytłoczone na pohybel nieuctwu i ignorancji, gotowa iść na podbój naszego czytelnictwa, drzemającego jeszcze, niestety, w okopach obojętności i niezrozumienia.

Stoisko Tow. Wydawniczego „Bluszczy” urządzone jest, jak zaciszny salonik, w którym wygodne jesionowe fotele i numery pism na stole w ozdobnych, swojskich teczkach, zachęcają do lektury.

Pod napisem: Tow. Wydawnicze „Bluszczy”, całą ścianę w głębi zajmuje wielka tablica statystyczna, zatytułowana: „Co dajemy rocznie naszym prenumeratom”, ułożona z numerów pism.

Prawą ścianę od wejścia poświęcono na „historję”. Środkowe miejsce zajmuje „drzewo genealogiczne „Bluszczy”, przedstawiające w tej formie rozwój stopniowy prasy i wydawnictw kobiecych, które początek swój wzięły z tego tygodnika.

Z korzeni, wśród których znajduje się napis: „Bluszczy”, tygodnik 1864 r.” — wyrasta gruby pień, objęty napisem: „T-wo Wyd. „Bluszczy”.

Pień ten falistą linją wznosi się ku górze, a od każdego zagięcia pnia odchodzi gałązka, zakończona kwiatem, wyobrażającym jedno z wydawnictw, którego nazwę objaśnia umieszczony pod nim napis.

Pierwszy kwiat, na lewo, licząc od dołu, to „Bluszczy” współczesny, a z jego gałązki wyrastający kwiatek — to „Kultura ciała”.

Drugi z kolei kwiat, znajdujący się po prawej stronie — to najpoczytniejsze pismo: „Kobieta w Świecie i w Domu”. Następnie idą kolejno: „Ży-



Stoisko Tow. Wyd. „Bluszczy” w Pawilonie Prasy

cie praktyczne”, „Dziecko i matka”, „Modne roboty kobiece”, „Wiek szkolny” i „Biblioteka wychowawcza”. Zielony pęd na czubku pnia wskazuje, że możliwe jest jeszcze dalsze rozrastanie się drzewa.

Przeciwległą ścianę zajmują wykresy „geograficzne”: w środku — wielka mapa Polski, na której kółkami oznaczono najważniejsze stacje pocztowe, do których wysyłane są pisma, przeznaczone dla prenumeratorek. Każde pismo oznaczone jest innym kolorem, jeśli do danej stacji dociera kilka pism, kółeczko podzielone jest na odpowiednią ilość różnobarwnych odcinków.

Na mapie tej opatrzone napisami tylko miasta wojewódzkie, chodziło bowiem o wykazanie nie ilości miast, lecz nasilenia czytelnictwa pism kobiecych.

Największe nasilenie wykazują województwa: poznańskie, krakowskie, śląskie i lwowskie — na nich najgęściej umieszczone są kolorowe krążki.

Po bokach mamy mapy obu półkuli ziemskich, a na nich uwidoczniono kraje, w których czasopisma nasze posiadają prenumeratorów.

Ten krótki przegląd pokazu naszej pracy kończymy życzeniem, aby ten rok 1929 był nie tylko dwusetleciem istnienia prasy polskiej, ale nowym etapem jej rozwoju; oby na Wystawie w Poznaniu zadrzierzgnęły się nici wzajemnego zaufania między czytelnikiem, a słowem drukowanym; oby to słowo, tak nieraz lekkie i lekceważone, zyskało na ciężarze gatunkowym, nabrzmiało istotną treścią, stało się wartością, niezbędną w życiu każdej świadomej jednostki.

S. P. O.



ELŻBIETA KIEWNARSKA

PAWILON ZIEMIANEK I WŁOŚCIANEK NA P. W. K. W POZNANIU

Na samym końcu terenów zachodnich Wystawy widzimy pawilon Ziemianek i Włościanek, mieszczący w sobie wystawę pracy zbiorowej kobiet we dworze i wsi polskiej.

Zbudowany na wzór współczesnego, skromnego dworku o szarych, tynkowanych ścianach i czerwonym dachu, skromny i bezpretensjonalny — robi odrazu najlepsze wrażenie. Otaczają go szerokie trawniki i kwietniki, pełne wiosennych bratków i tulipanów. W najbliższym sąsiedztwie ma pawilon Ziemian, większy i bogatszy zewnątrz, lecz równie spokojny i harmonijny.

Pomiędzy nimi rozbiła gościnne namioty kawiarnia, prowadzona przez panie kresowe, z panią Horwattową na czele — tą samą panią Horwattową, która od czasu, gdy ciężkie losy wojenne rzuciły na bruk warszawski tysięczne rzesze wyzutych z mienia i pozbawionych dachu nad głową kresowców — karmi i wspomaga te rzesze w doskonale prowadzonej kuchni dla inteligencji.

Wchodzimy do pawilonu. Całą halę główną oddano sztuce czystej i stosowanej. Pozornie, można by zrobić zarzut, że za dużo miejsca tej sztuce poświęcono. Bo przecież sztuka w życiu kobiety — ziemianki tylko drugorzędną rolę grać powinna, tylko odpoczynkiem po innych, ważniejszych pracach być może.

Odpowiedź na to, odpowiedź przeczącą, otrzyma każdy zwiedzający Wystawę — wszędzie dominuje, króluje haft, ten haft, na który wiecznie gdzieś gorączkowo śpiesząca kobieta miejska nigdy czasu nie ma, a który stanowi prawdziwą przyjemność w długie dni niepogody i jeszcze dłuższe wieczory jesienne i zimowe. Pan domu czyta gazety lub ciekawą książkę, a pani snuje igłą prawdziwe poematy.

Wszystkie rodzaje ściągów, wszystkie arkana techniki współczesnej są tu przedstawione — na przykład hafty jakby puchem na tiulu (pań kresowych) — obok nich figurują kopje najstarszych wzorów, jak makata w dziale „Ars“, lub sztandar kościelny, będący dokładną kopją płaszcza ślubnego księżny Łowickiej Joanny Grudzińskiej. Prawdziwie pajęczą robotą, cudem cierpliwości jest chusteczka do nosa p. Jadwigi Strawińskiej, wykonana około 1846 roku. Jeszcze starszą jest ręcznie haftowana suknia ślubna starościny Pyzdrskiej z Lipskich Skórzewskiej z roku 1773. Hafty Rozalji Młociszewskiej z 1837 roku zachowały całą swą świeżość. Gablota z robotami

trzech pokoleń kobiet z jednej rodziny daje obok haftów przepiękne koronki, igielką tylko wykonywane, „point à l'aiguille“.

Cały kąć zajmują ornaty, kapy i inne aparaty kościelne Sióstr Magdalenek; pomiędzy nimi haftowany jedwabiami portret papieża Piusa XI.

Przeciwny kąt zajmuje autonomiczna Sekcja Zjednoczenia Ziemianek „Ars“. I tutaj widzimy głównie hafty, lecz hafty współczesne. Są to nieraz artystyczne kopje starych wzorów, lecz większość deseni nowych, na swojskich motywach opartych. „Ars“ szerzy zamiłowanie do robót ręcznych, artystycznie wykonanych, i zakłada gniazda hafciarskie, jak w Łomżyńskim, w Pniewie na Kujawach i t. p.

Trzeci kąt hali głównej mieści oszklone szafki-gabloty ze starą — pamiątkową i nową, artystycznie malowaną porcelaną i książkami, utworami kobiet-ziemianek. Plater-Zyberkówna, Pawlikowska, Brezina, Górka — któż je wszystkie wyliczy! Tamże widzimy puste jeszcze okładki do „Bibliografji piśmiennictwa kobiety polskiej“, opracowywanej przez M. Bruchnalską.

Czwarty róg mieści kilimy i malowidła. Portrety Jaroszyńskiej, Rychter-Janowskiej (portret p. prezydentowej Mościckiej), akwarele Jadwigi Marzarakówny, rysunki L. Pawlikowskiej, meble, malowane przez p. Chelchowską ze Śmiałowa, i wiele, wiele innych.

Rzeźb kilka tylko. Jedna z nich, największa — „Oracz“ — zdobi fronton pawilonu Ziemian i jest dłuta hrabianki Kwileckiej z Dobrojewy.



[Pawilon Ziemianek i Włościanek na P. W. K.]

Boczną salkę zapełniają zdjęcia szkoły Matki Ledóchowskiej w Pniewach i elewek gospodarczych w Dobrojewie, wraz z eksponatami tych zakładów. Tutaj też oglądamy księgi wzorowej rachunkowości gospodarczej według działów. Naprzykład, mleczarstwa hr. Franciszkowej Kwileckiej, hodowli drobiu p. Czarnockiej i t. p. Widzimy tu też gablotę z pracami członkiń warszawskiego „Koła Studjów Gospodarstwa Domowego“, które jest autonomiczną Sekcją Zjednoczonych Ziemianek. Pod hasłem „organizacji pracy domowej we dworze wiejskim“ wykonana tablica obrazuje roboty porządkowe na wszystkie dni tygodnia, do niedzielnego flirtu pod płótnem włącznie.

Część hali trzeciej, przeznaczanej na pokazy, zajmował w chwili otwarcia Wystawy pokaz ciast świątecznych, tradycyjnie wypiekanych na Święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy. A więc sękacz półtorametrowy, baba podolska „lokciowa“ (która, uznając nowy system metryczny, ma blisko metr wzrostu), różne placki, strucle i t. p. Pokaz ten będzie się zmieniał w ciągu trwania wystawy; kolejno przejdą w nim: pieczywo włościańskie, konserwy, kompoty, konfitury, wina owocowe, wędliny, suszyny i t. d. — do zupełnego wyczerpania kulinarnych wyrobów wsi polskiej. W tejże hali widzimy wykresy, obrazujące produkcję i handel drobiem, jajami, nabiałem i t. p. dworów wielkopolskich.

Dwie hale napravo zajmują włościanki. Dwie poważne gospodynie szamotulskie, w cudownie wyrurkowanych, śnieżno-białych czepcach, zakończonych barwnymi zawojami, czynią tu honory domu i udzielają objaśnień. Są tu wnętrza chat krakowskich i łowickich. Łóżka, kredensy, szafy, kolebki, skrzynie, kwiecisto i barwnie malowane. Sieradzkie wełniaki, kaliskie sukmany, bajecznie kolorowe kompletne stroje łowickie — męskie i kobiece. Stroje z pod Zaleszczyk i z pod Jaworowa, artystycznie haftowane sukmany i gorsety krakowskie. Model krakowskiej zagrody włościańskiej, wnętrza chaty kaszubskiej i wityna, pełna przepięknych czepców z różnych okolic Wielkopolski.

Najdroższe jednak skarby mieści galerja, okalająca halę główną. Wchodzimy na nią po obwieszonych makatami i pasiakami schodach. Tu jest sanktuarjum pamiątek historycznych i narodowych. Za-

nim do niego dojdziemy, zatrzymujemy się przy tablicach i wykresach. Daty założenia poszczególnych Kół Ziemianek, Zjednoczonych Ziemianek, Młodych Ziemianek, kursy praktyczne i naukowe, przez nie prowadzone, szkoły, ochrony, udział ziemianek w wojnie światowej. Szeroka gościna Ziemianek wielkopolskich, obozy harcerskie i kolonje letnie, obozujące na ich ziemiach. Tysiące bezdomnych ofiar wojny, znajdujące schronisko pod ich dachem, kolonje wakacyjne. Pani Chłapowska, która dział ten głównie zorganizowała, podaje cyfrę 2129 letników bezpłatnych, którzy znaleźli wypoczynek po pracy we dworach wielkopolskich.

Portrety założycielek Związku Ziemianek patrzą na bujny rozkwit dzieła, przez nie zapoczątkowanego. Obok — tablice: „Odnaczenia społeczne i krzyże“. Jakże ich mało, w stosunku do ogromu pracy, do zasług położonych! Byle referent, odsiadujący niecierpliwie swe siedem godzin w departamencie, nosi odznakę wyższą, niż kobieta, która życie całe pracy dla kraju poświęciła.

A teraz — pochylmy głowy. Ze ścian patrzą na nas podobizny tych, co z bronią w rękę o niepodległość ojczyzny walczyły; tych, co tajnie szerzyły oświatę polską; tych, co za te „przestępstwa“ same w więzieniach pokutowały, lub dobrowolnie za mężami szły na Sybir.

Od r. 1831 do 1863 mamy obraz martyrologji kobiety polskiej. Lwowskie „Klaudynki“ i warszawskie „Piątki“; kobiety z Wileńszczyzny i Żmudzi, z Ukrainy i Podola, z Królestwa i Galicji. Henryka Pustowójtówna i Emilja Plater, Klaudyna Potocka i Teodozja Piotrowska, Skirmuntowa i Wodzyńska, Przewłocka i Prussakowa, Wańkiewiczowa, Łęska, Grocholska, Sobańska... któż je wszystkie wyliczy, te niestrudzone pracownice, co budowały gmach wolności ojczyzny?!

A dalej jeszcze te, które w nowszych już czasach, wychowywały obecne pokolenie w czci tych samych ideałów narodowych. Portrety generałowej Zamoyskiej, założycielki zakładu wychowawczego w Kórniku; Ludwiki Turno, założycielki Ziemianek Wielkopolskich; Matki Marceliny Darowskiej, założycielki SS. Niepokolanek — patrzą na nas pełnemi nieprzebranej dobroci oczyma. I wychodzimy stamtąd, jakby przeniesione w świat lepszy, odmienny od tego świata zwykłych zjadaczy chleba, wśród którego żyjemy.



PRZEMYSŁ SPOŻYWCZY NA P. W. K.

Ponieważ Polska jest przede wszystkim krajem rolniczym, więc największą rolę w niej grają te rodzaje przemysłu, które ściśle z rolnictwem są związane. Świadczy o tem cały dział spożywczy Powszechnej Wystawy Krajowej

Oprócz głównego pawilonu spożywczego, położonego na samym wstępie terenu zachodniego Wystawy, stanęły tam całe szeregi większych i mniejszych pawilonów, bądź to Zrzeszeń pokrewnych produkcji, bądź wystawców poszczególnych. Pawilony te znajdują się w bliskim sąsiedztwie pawilonu głównego i zajęły poważną ilość, bo nie mniej, niż 2.600 m² terenu. Mieszczą się w nich wystawy: cukrownicza, cukiernicza, likierowo-wódczana, browarnicza, sztucznych wód mineralnych i przetworów ziemniaczanych.

Przemysł cukrowniczy, zrzeszony w Radzie Naczelnej Polskiego Przemysłu Cukrowniczego, zajmuje sam jeden tylko blisko czwartą część tych terenów, gdyż pawilon jego ma 625 m² powierzchni. Oprócz tego cukrownia Gnieźnieńska ma własne stoisko w Pawilonie Głównym.

Blisko z cukrownictwem spokrewniony przemysł cukierniczy, — stojący według mnie poza wszelką konkurencją w całej Europie, gdyż takich cukierków i ciastek, jakie mamy w Polsce, na całym kontynencie starym nigdzie się nie znajdzie, — zajmuje dużą przestrzeń w Pawilonie Głównym; pozatem pięć firm cukierniczych ma własne pawilony, przyczem w pawilonie firmy „Goplana“ publiczność może oglądać maszyny cukiernicze w ruchu.

Obok młynarstwa, reprezentowanego przez najpoważniejsze związki i poszczególne firmy młynarskie, wytwórnie piekarskie przedstawiają racjonalny i do wymagań higieny dostosowany wypiek pieczywa. Dobre pieczywo jest nie do pomyślenia bez dobrych drożdży, więc obok Związku Właścicieli Drożdżowni w Polsce daje zbiorowy obraz stanu obecnego przemysłu drożdżowego.

Wysoko w Polsce rozwinięty przemysł ziemniaczany (mączka, płatki, spirytus, syrop i t. d.) przedstawiony jest w dwóch miejscach. Mniejsze firmy mają stoisko w Pawilonie Głównym; większe, wraz z Radą Naczelną Gorzei rolniczych, mają własny pawilon, w którym jest zobrazowany całokształt zagadnień, związanych z tym przemysłem.

Zrzeszeni w Związku Polskiego Przemysłu Piwowarskiego i Słodowniczego browarnicy, oprócz wspólnego pawilonu, mają cały szereg pawilonów i stoisk poszczególnych firm, związanych nie tylko z wyszynkiem piwa, lecz i z dużymi restauracjami. Liczne firmy wódczano-likierowe, oprócz wystawiających w Pawilonie Głównym, mają swoje pawilony

i kioski, licytując się wzajem co do oryginalności pomysłów; są nawet pawilony-butelki.

Przejdźmy do Pawilonu Głównego. W hali jego mieszczą wykresy, zestawienia, tablice porównawcze, wykazujące stan przemysłu spożywczego, jego różne rodzaje i związane z nim zagadnienia, ze specjalnem uwzględnieniem dorobku ostatnich lat dzieśięciu, czyli rozwoju tego przemysłu w wolnej Rzeczypospolitej. Ta część Wystawy nosi poniekąd charakter dydaktyczny. Podział na poszczególne rodzaje, klasy przemysłu, daje zwiedzającemu możliwość orientowania się w poszczególnych działach, i wyrobienia sobie jasnego pojęcia o całokształcie przemysłu spożywczego.

Dalej możemy oglądać wspaniałe chłodnie — miłe zajęcie w skwarny dzień letni. Zbudowały je Zjednoczona Huta Królewska i „Laura“ według ostatniego słowa techniki i higieny.

Więc oglądamy tam wzorową chłodnię i poznajemy cały współczesny system chłodzenia. Obok mamy chłodnie elektryczne dla gospodarstw restauracyjnych, kawiarnianych i — prywatnych. Niestety, dotąd na takie chłodnie elektryczne mogą sobie pozwolić tylko bardzo bogaci ludzie, bo chociaż sama eksploatacja ich jest niekosztowna, jednak aparaty są drogie.

W Pawilonie Głównym wystawiają przede wszystkim fabryki konserw owocowych i jarzynowych. Większość — chlubnie znana. Konserwy krajowe powoli, lecz stale usuwają z rynku produkty zagraniczne i za lat parę powinniśmy w tym kierunku być zupełnie samowystarczalni.

Obok konserw owocowych mamy konserwy rybne. Niedużo firm, lecz bardzo ruchliwych, dążących do wyrobu różnych „specjalności“ zagranicznych. Więc mamy już krajowe „Appetit sild“ bez ości i „anchois“ w oliwie, — konserwy, dotąd wyrabiane tylko w Norwegji i Szwecji.

Obok konserw mamy parę stoisk z masłem: oślinem i olejem orzechowym. Produkty te, wyrabiane w kraju, chociaż z produktów zagranicznych (orzechy kokosowe i ziemne), zasługują na szczególną uwagę, gdyż konkurują z takimiż produktami zagranicznymi, masowo do Polski przez Gdańsk przywożonymi, a wobec coraz bardziej rosnącej drożyzny masła krowiego, grają dużą rolę w odżywianiu mas. Nie należy zapominać, że znany dyrektor Zakładu dietetycznego w Kosowie, dr. Tarnawski, uważa masło kokosowe za strawniejsze od śmietankowego. Można temu produktowi zarzucić dużo mniej wykwintny smak i brak witamin, natomiast pozostanie tancść i trwałość, których masłu śmietankowemu brak, nie-

Dalej zasługują na uwagę i poparcie krajowe budynie i galarety, krajowe sosy i buljony. Dzięki umowie z Gdańskiem, pozwalającej na przewóz artykułów spożywczych bez cła, różne firmy niemieckie pobudowały na terytorjum Wolnego Miasta fabryki i zasypują nas swymi produktami, — należy odróżniać te produkty od wyrabianych w kraju i popierać tylko te ostatnie.

Kawy zbożowe, domieszki do kawy i cykonja zajmują kilka stoisk. Są to artykuły, grające dużą rolę w odżywianiu mniej zamożnej ludności.

Również licznie reprezentowane są octy i wyborne muszardy. Jest ich tyle, że chyba na eksport je produkujemy — sami zjeść ich nie jesteśmy w stanie.

Jeżeli mowa o jedzeniu, to chyba u nas — wbrew przysłowiu — nikt nie jada mydła, więc nie wiem, czemu pewna mydlarnia ma stoisko, i to duże, pomiędzy artykułami spożywczymi.

Bogaty dział wystawy spożywczej stanowią miody i wina owocowe, Związek Wytwórców Win Owocowych ma swoje ogromne stoisko; poszczególni więksi i mniejsi, bardziej i mniej znani producenci licznie są reprezentowani. Jest to przemysł, do którego żywiec specjalny sentyment. Marzę zawsze, że przyjdzie chwila, kiedy akcyza od win owocowych zostanie zniesiona lub sprowadzona do minimum; kiedy cukier, na wyrób wina używany, stanie się tak tani, jak ten, który eksportujemy zagranicę, i kiedy każdy biedny inteligent i robotnik, zamiast trującej wódki i ciężkiego piwa, będzie miał do obiadu butelkę wina owocowego, jak każdy włoch czy francuz ma wino gronowe.

Pani Elżbieta.



SALATA WITAMINOWA

Duży krzak twardej, głowiastej sałaty, pęczek jędrnych rzodkiewek, tyleż młodej karotki i tyleż kalarepki (mówię „tyleż“, myśląc o ilości, a nie o pęczkach, które mogą być rozmaitej wielkości). Jarzynki zestrugać dokładnie na jarzynowej tarce, sałatę pokrajać na wąziutkie paski (jak krajane kluszczyki). Pół korzonka chrzanu utrzeć, osolić lekko, pocukrzyć, wycisnąć na to sok z całej cytryny i potrzymać tak odkryty godzin parę, aby chrzan zbytnią ostrość stracił. Jarzynki lekko osolić, polać

dwiema łyżkami najlepszej oliwy, potem zaprawą chrzanową, wymieszać dobrze i podawać. Do tego oddzielnie ugotowane kartofle.

KOTLETY CIEŁĘCE Z MÓZDŻKIEM

Cienkie kotlety cielőce (krajac po jednej kostce), rozbić mocno, przykryć talerzem i pozostawić tak na godzin parę. Kotlety, wybijane przed samem smaženiem, bardzo się kurczą. Na sześć kotletów ugotować jeden mózdzek cielőcy, wymoczony wpierw i obrany z krwawej błonki. Gotując, wodę mocno osolić i dodać do niej łyżkę octu. Mózdzek utrzeć na miseczce, dodać cebulę, utartą na tarce i przesmażoną w łyżce masła, jajko całe, trochę zielonego koperku i odrobinę białego pieprzu; wymieszać tę masę doskonale. Kotlety utarzać w mące, usmażyć, rumieniąc z obu stron na maśle, osolić dopiero w czasie smażenia. Ułożyć kotlety na dużej patelni lub brytfance, każdy posmarować grubo masą mózdzkową, obsypać tartą bułeczką i wstawić w piec, aby się ta masa zrumieniła. Na patelnię, gdzie pozostało maśło od kotletów, wsypać niedużą łyżkę mąki, zrumienić, dodać szklanekę rosółu lub wody, pół łyżeczki ekstraktu Ninabu, łyżkę śmietany, zagotować razem i podać w sosjerce do kotletów. Jako jarzynę do takich kotletów można podać groszek zielony, młode kartofle, karotkę, fasolkę zieloną, lub też makaron, czy purée kartoflane.

SUM PIECZONY

Piękny, gruby kawał suma osolić na godzin parę przed pieczeniem. Garstkę koperku usiekać drobno, utłuc w moździerzu z łyżką soli. Masą tą jakby naszpikować rybę, robiąc w niej otwory ostrym nożem i głęboko zasuważac palcem zieloną mieszaninę. Posmarować rybę masłem i wstawić w dobrze gorący piec. Narazie polewać ściekającym masłem, potem dolać parę łyżek rosółu lub wody, a nakoniec posypać łyżeczką mąki i podlać dobrze kwaśną śmietaną. To ostatnie należy robić dopiero wtedy, gdy ryba prawie gotowa, co można poznać po tem, że ości — których zresztą sum ma bardzo mało — odstawać zacząć. Rybę pokrajać w grube plastry, ułożyć na półmisku, obłożyć kartoflami, ugotowanymi oddzielnie i zmieszanymi w rondlu z kawałkiem masła i garstką koperku. Sos z brytfanny, przetarty przez durszlak, podać oddzielnie w sosjerce. Gdyby go było mało, rozprowadzić rosółem lub wodą, uważając jednak, aby był dosyć zawiesisty.

OPIEKANKI KARTOFLANE

Kilo kartofli ugotować w mundurach, obrać, dopóki gorące, przepuścić przez maszynkę, wystudzić. Dwa jaja ugotować na twardo, usiekać niezbyt

drobno. Piętnaście deka szczypioru z młodej cebuli pokrajać drobno, poddusić wolno w dużej łyżce masła, aby szczypior zmiękł, lecz nie stracił koloru. Jaja i szczypior zmięszać z utartymi kartoflami, dodać dwie spore łyżki mąki, dwa lub trzy jaja surowe, osolić do smaku. Robić z tego nieduże, okrągłe placuszki, tarzać w mące z bułeczką i smażyć na szmalcu lub na maśle z oliwą. Do tego salata ze śmietaną, lub chrzan z octem.

KONFITURY Z TRUSKAWEK

Bujne, równe i nieprzejrzałe truskawki oczyścić z listków i ogonków, ucinając je nożyczkami, a nie obrywając, gdyż naderwany u nasady owoc rozpadnie się w smażeniu. Każdą jagodę umaczać w spirytusie, obsypać cukrem-pudrem, ułożyć na półmisku i wynieść na chłód na 24 godziny. Na kilo owoców ugotować gęsty syrop, biorąc dwa kilo cukru (razem z tym, cośmy użyli do posypywania) i trzy szklanki wody. Na wrzący syrop wyłożyć truskawki, zagotować raz tylko, poczem przesunąć na wolny ogień i smażyć wolniutko, aby tylko powierzchnia lekko drżała. Szumować ostrożnie, aby nie pognieść owoców i nie mięszać wcale, tylko potrząsać miednicą. Gdy wszystkie owoce będą przezroczyste, włożyć na dwa kilo konserwy jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody i, nie gotując więcej, przelać do porcelanowej salaterki dla ostudzenia. Zimną konfiturę przełożyć w słoiki i obwiązać pergaminem lub, co jeszcze lepiej, szklanym papierem.

W taki sposób smażymy konfitury, jeśli chcemy zachować im ładny wygląd. Do codziennego użytku, na tak zwany „jam“, bierzemy mniej ładny owoc, nie maczamy go w spirytusie i używamy tylko kilo cukru na kilo owocu. Obcinanie ogonków i smażenie wolne należy jednak zawsze stosować. Owoce, naderwany w nasadzie i gwałtownie gotowany, rozpadnie się zawsze i będziemy mieli nie konfitury, tylko marmeladę.

Pani Elżbie: a.

KORESPONDENCJE

Firma Gebethner i Wolff. — Kraków. — Narzędzia, podawane w naszym piśmie, nie wszystkie można nabyć w Warszawie. Wiele jest u nas nieznanych dotąd. Śledząc za postępem, podajemy ich opis, informując nasze czytelniczki o ich egzystencji i pobudzając zarazem inicjatywę twórczości polskiej w tym kierunku. — Fartuszek z adnotacją wysłany.

Pani W. P. — Kurzeniec. — Kursy gospodarcze wakacyjne odbędą się w ciągu Lipca w Lubrańcu pod Włocławkiem.

Pani Z. J. — Gdańsk. — Żądane adresy domów wychowawczych podajemy: Dom Wychowawczy imienia ks. Baudouina — Nowogrodzka 75. Zakład św. Kazimierza — Tamka 35. Schronisko „Dzieci Marji“ — Rakowiecka 15 i Towarzystwo Ochrony kobiet — Mazowiecka 11 lub Czackiego 10.

Pani J. K. — Gorlice. — Płaszcz najlepiej kupić gotowy, gabardinaowy lub z fantazyjnego materiału; na głowę maleńki kapelusik filcowy, albo lepiej z ażurowego materiału słomkowego, bardzo dziś modnego. Co do kąpeli różanych, niech Sz. Pani zwróci się do p. Dr. Świtalskiej, która da w następnym numerze „Kultury Ciała“ odpowiednie wskazówki.

Pani A. J. — Paniowy. — Wzory żądane dostanie Sz. Pani w „Książnicy Atlas“; proszę przesłać im 80 gr. plus kosztów pocztowych, powołując się na naszą Redakcję, a książeczkę nadesłać. Adres Książnicy: Nowy Świat 59.

Panu A. O. — Leszno. — W lecie roku zeszłego podaliśmy szereg wyczerpujących artykułów o różnych zawodach kobiecych. Obecnie wychodzi cykl z dziedziny gospodarczej. Na żądanie Sz. Pana numery powyższe przesłać możemy po otrzymaniu odpowiedniej należności.


UNIwersYTECKA SZKOŁA PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE.

otwiera nowy kurs dnia 1 lutego 1930 r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek: Kraków, Kopernika 25.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA AGAŃSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA AGAŃSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z ZNAKIEM FABRYCZNYM „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rybarska 8, tel. 244-18.

